SYN
MARNOTRAWNY;
KOMEDYA.

9.26,74,31.63.

9.26.74.31.63.

SYN MARNOTRAWNY;

KOMEDYA

w PIĄCIU AKTACH,

Wierſzem przeſtoſowana.

Irritat, mulcet.
HOR.

przez

Jmci Pana LUDWIKA AZARYCZA,
Dworzanina Rady Nieuſtaiącey.

Za Przywileiem.

w WARSZAWIE 1780.

Nakładem y Drukiem MICHAŁA GRÖLLA,
Księgarza Nadwornego J. K. Mci.

AKTOROWIE.

KLIMUNT DOBRUCKI, Staroſta.

WALERY, dawniey Woyſkowy. } Synowie Klimunta.

SIECIECH, Regent. }

BIZARSKI, Szlachcić bogaty.

ELŻUSIA, Corka Bizarſkiego.

ZDAWNIALSKA, Podſtolina Wędeńſka.

FIDELSKA, Pokoiowa Elzuſi.

HOŁOTKIEWICZ, Służący Walerego.

LOKAY.

WARTA.

Scena w Kaliſzu.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

KLIMUNT, BIZARSKI.

BIZARSKI.

Moy ſmutny przyiacielu! moy dawny ſąſiedzie!
Nadumałeś ſię doſyć o domowey biedzie.
Czasby ią raz zapomnieć hey! co za pociecha!
Gdy daię moią corkę za twego Sieciecha;
Gdy rany twego domu goi kontrakt wieczny:
Ale ten twoy Pan Sieciech zdaie ſię nie grzeczny.

KLIMUNT.

Coż zrobił?

BIZARSKI.

Wzdęty ſwego urzędu powagą,
Kocha ſię w ſwoiey przyſzłey pod miarą y wagą,
Ja o takim młodziku więkſze mam nadzieie,
Ktory wyſzedłſzy ze ſzkoł, trochę poſzaleie;
Ale Pana Sieciecha nienawidzę za to,
Że zawſze chce rozprawiać, iak brodaty Kato;
Przykry ieſt.

KLIMUNT.

WaćPan także wydaieſz ſię niby
Trochę z rzęda.

BIZARSKI.

Y zatom lepſzy bez ochyby,
Bo lubię prawdę mowić, y lubię iey ſłuchać.
Buzować Pana zięcia, gdy chce pod nos dmuchać;
Wyrzucać mu na oczy iego śmieſzne czyny,
Y przygaſzać napuchłość tey prawnickiey miny;
Kiedy iednak rozpuſtnik, burda, marnotrawca,
Koſtera, y tyſiącznych innych niecnot ſprawca.

Starſzy ſyn twoy Walery, nie wiedzieć gdzie
zniknął.
Dobrze ieſt, żeś do tego pyſzałka przy-
wyknął;
Ześ na niego maiątek cały naſpoſobił,
Y żeś mu regentoſtwo tym czaſem wy-
robił.
Ale iak tylko dopadł Pan młodzik urzędu,
Zhardział zbyt, y dla ſtarſzych nie ma doſyć
względu.
Pełen dziwney prożności, y marnego ſzumu,
Już ſądzi, że ma więcey nademnie rozumu.
Choć każdy wie dokładnie, że ia mam oleiu
Od ciebie nawet więcey.

KLIMUNT.

A moy dobrodzieiu!
Jakże ci ſię nie ſprzykrzy?—

BIZARSKI.

Te iednak przywary,
Natura mu nadgradza ſzczodro z inney
miary.
Zrobiła go łakomym, na tym ſtoią domy:
Od rozumnego lepſzy goſpodarz łakomy.
Dar to boży ta wada. Idźmy łączyć parę,
Niechay mu dziś Elżbietka poprzyſięże wiarę.

Nie zostaie nam więcey z interessow mnostwa,
Tylko, żeby Wać zrobił cessyą starostwa;
Donacyą wszystkich dobr y summek prze-
lewki,
Na synala, przyszłego męża moiey dziewki.
Obwarowawszy sobie na Wacin łeb stary,
Obżywienie, poki cię nie wsadzą na mary.
Idźże Wać do alkierza z swym manualistą,
Wygotuycie ze wszystkim tranzakcyą czystą,
Ażebyśmy do Grodu z gotowością przyśli;
Jeźli nie, to Elżbietka o innym pomyśli.

KLIMUNT.

Com oddał w obietnicy, y w rzeczy nie-
skąpię,
Całego regentowi maiątku ustąpię.
Osobności też sobie starość moia życzy,
Czekaiąc końca życia pełnego goryczy.
Lecz radbym, żeby moy syn iuż dosyć szczę-
śliwy,
Był na moię fortunkę mniey cokolwiek
chciwy.
W iednym synu rozwiozłość opłakuię wiecznie,
W drugim postrzegam duszę łakomą zbyte-
cznie.

BIZARSKI.

Tym lepiey.

KLIMUNT.

Ich nałogi zbliżaią mi trunny,
Y iestem z każdey strony oyciec niefortunny.

BIZARSKI.

Panie bolesny świekrze! do czegoż to służy?
Chciałbyś, żeby znurzany w sprosności kałuży.
Walery znowu przybył? breweryi narobił?

KLIMUNT.

Niech Bog broni.

BIZARSKI.

Zeby dom podpalił? nas pobił?

KLIMUNT.

Panie zachoway!

BIZARSKI.

Zeby Elżbietkę porwaną,
Uniosł, ktora mu niegdy była obiecaną?

KLIMUNT.

Nie —

BIZARSKI.

Zeby nam przyleciał dokuczać obiema.
Obdzierać cię? dziedziczyć?

KLIMUNT.

Nic dla niego nie ma:
Wſzyſtko dam iego bratu w dobrach y puściźnie.

BIZARSKI.

Chyba że tak; inaczey Elżuſi nie liźnie.

KLIMUNT.

Młodſzego ubogacam, bo ſtarſzy odrodny,
Nie ieſt tylko przeklęſtwa oycowſkiego godny.

BIZARSKI.

Ja ſię też to dziwuię, żeś patrzył przez ſzpary,
Ześ tak długo mogł znoſić bezecne przywary:
Co on też dokazywał przez niemałe czaſy!
Pamiętaſz, świekrze, owe nadobne figlaſy?
Kiedy ci ſię był dobył do okutey ſkrzyni,
Zeby kupił zaprzęgi dla ſwey Reſtoryni,

Ktora w trzy dni innego wzięła ſobie gacha;
Jakżem ia ſię też wtedy naśmiał cha, cha,
cha, cha.

KLIMUNT.

Ale cożza potrzeba WaćPana przywiodła?
Zebyś znowu mych żalow odkopywał zrzodła.

BIZARSKI.

A w faraona, pomniſz, gdy ſię był zapalił?
Jak na aſa garściami obrączkowe walił?

KLIMUNT.

Eh!... porzuć.

BIZARSKI.

Ale, ale, a te ſławne czyny!
Pamiętaſz? gdy z Elżbietką miał mieć zaręczyny?
Gdzie go w wieczor znaleźli? aż mowić ſromota
W iakiey budce, dla kogo... ptwy, co za niecnota!

KLIMUNT.

Nacoż WaćPan tych brzydot czyniſz obraz żywy?
Czyliż y tak nie ieſtem doſyć nieſzczęśliwy?

Rzucam powiat, w ktorym mi niebo życie
dało,
Bym pamięć mieysc utracił, w ktorych się to
działo.
Przychodzę cię, tu, stary przyiacielu łączyć,
Brać pociechę, łzy moie na twe łono sączyć.
Y czemuż tak niewzględnie odświeżasz me
bole,
Nieszczędzisz prawdy, ale prawda czasem
kole?

Bizarski, *kładąc sobie palce na usta.*

Ną, ną; iuż nic nie rzeknę, kole prawda
naga.
Ale też y Wać Pana wielka nieuwaga,
Bo kiedyś w nim skłonności zbyt bystre po-
znawał;
Po cożeś go u kata do reymentu dawał?

Klimunt.

Y ieszcze?

Bizarski.

Już y słowka... ale trzeba było...

Klimunt.

Trzeba tego zapomnieć, co dotąd mar-
twiło.

Słuchay, ſąż Sieciechowe kroki niedaremne?
Pozyſkałże w ſzczerości ſprzyianie wzaiemne?

BIZARSKI.

Ni wątpić. Moię corkę wprawiłem powoli,
Zawſze moiey naywyżſzey być posłuſzną woli:
Ona w ryzie trzymana, nie żadna pieſzczocha,
Jak prędko powiem; nuże! kochay go, wnet kocha.
Oh! tę ieſzcze woſkową umiem rządzić duſzę,
Do czego zechcę, iednym słowkiem ią przymuſzę.

KLIMUNT.

Pozwol mi WaćPan wątpić, byś miał ſwoim zdaniem,
Kędy zechceſz kierować Elżuſi kochaniem,
Dla Walerego niegdy, poki mogł być w cenie,
Czyſte tey nowey duſzy zyſkałem płomienie.
Pierwſzy miłości poſtrzał naygłębiey kaleczy;
Wiem, że ta rana w pierſiach nie prędko ſię zleczy.

BIZARSKI.

Bay ſobie, bo ci widno.

KŁIMUNT.

Wolno, co chcieć gadać,
Ale ten łotr umiał ſię w ſerduſzko zakradać.

BIZARSKI.

Kto zaś znowu? ten hultay? nie turbuy ſię o to:
Bo kiedy on oycowſkie śmiał poruſzać złoto,
Wiodł złe życie, y tyle rozproſzył tyſięcy,
Przykazałem mey corce nie kochać go więcey,
Co każę, to być muſi... ot y ona kroczy.

SCENA II.
KŁIMUNT, BIZARSKI, ELZUSIA, FIDELSKA.

BIZARSKI.

Chodźſam do nas, dziewczyno; patrz mi śmiało w oczy,
Y na moie pytania odpowiedz mi ſzczerze,
Gdy ci kogo w dozgonne oddaię przymierze.

Czy on ſzpetny? czy ładny, ſmutny czy weſoły,
Czy w bogactwach opływa, czy iak bizon goły;
Wſzak go kochaſz, byle ci odemnie był dany?
A co? iakże? nie prawda?

ELŻUSIA.

Nie, oycze kochany!

BIZARSKI.

Jako?

KLIMUNT.

Jakżeś to WaćPan deſpotycznie władał!

BIZARSKI.

Jakże to potym wſzyſtkim, com ci napowiadał,
Jeſzcze ci ſię twoy przyſzły do ſerca nie wſunie.
Ten, co ci go dziś daię?

ELŻUSIA.

Mości tatuniu! nie.

BIZARSKI.

Nie wieſz to, że ci każe przyſzłe zaślubienie,
Byś mu oddała ſerce? nie wieſz?

ELŻUSIA.

Pewnie, że nie.
Znam ia, kochany oycze, cokolwiek te prawa,
Pod ktore obowiązek wieczyſty poddawa.
Wiem, że pilnie w roſtropność trzeba ſię ſpoſobić,
Aby ſobie ſzacunek małżeńſki zarobić;
Y w czym natura ſkąpa mogła nas uſzkodzić:
Piękności niedoſtatek dobrocią nadgrodzić,
Obcym ſię ukazywać z obyczaiow miłą
W domu męża zniewalać przyiemności ſiłą.
Co ſię tycze kochania, to ieſt rzecz oſobna,
Wewnętrznym poruſzeniem rządzić niepodobna.
Los naſz ieſt z całą reſztą mężowi oddany;
Lecz niech ſobie zaſłuży, aby był kochany.
Bo ſerce do podbicia naywięcey nieſnadne,
Nigdy nie umie kochać przez rozkazy żadne;
Ale ſwoiey naywyżſzym władcą będąc doli,
Y ſam mu nawet rozum nie odeymie woli.
Dopieroż intercyza do tego nie zmuſi.

KLIMUNT.

Ja ſię piſzę przy moiey rozſądney Elżuſi.
Powinność mego ſyna przez zaſługi ſetne,
Zyſkać ſobie to ſerce prawdziwie ſzlachetne.

BIZARSKI.

BIZARSKI.

Milczałbyś lepiey, dziadu, do zwiedzenia łatwy;
Siwobrody, podchlebco, kazicielu dziatwy!
Moia corka nie znała takich maxym z piekła,
Y bez ciebie nigdyby tego niewyrzekła.

do Elżuſi.

Słuchay ty: daięć męża, nie bardzo rozumny,
Niezbyt gładyſz, y trochę nie wiem czemu dumny.
Lecz to do mnie należy poprawować zięcia,
Przyiąć, iakiego daię, powinność dziecięcia;
Czyńże, co rozkazuię; a iak ſię poymiecie,
Zyczę wam, kochaycie ſię.... ieżeli możecie.

do Klimunta.

A ia, Panie wſpoł-tato, nie czekam zachodu,
Idę naſze czynności przynaglać do grodu,
Temu ſuſceptantowi muſzę natrzeć uſzy,
Co lada rzecz rozwleka na kilka arkuſzy;
Wſzyſtko to dla ſikorki; niechby ſię nią cieſzły,
Byleby ſię przynaymniey z przepiſaniem ſpieſzył;

Wnet wracam, nadgrodziwszy pisarkom sowito.
Zięcia, corkę, y ciebie zburczyć.

KLIMUNT.

Dobre y' to.

SCENA III.

ELZUSIA, FIDELSKA.

FIDELSKA.

Nasz Jegomość do swego dziwnego zacięcia
Łączy słowa y zdania trudne do poięcia.

ELŻUSIA.

Roztrząśniy iego czyny, nie sądząc go z mowy,
Wyznasz zemną zapewnie, że humor surowy
Nie niszczy w nim dobroci; pod groźną postawą,
Przy tych burzliwych słowach, duszę ma łaskawą,
Często swe powiedziawszy, nie wysłucha zdanie,
Natupa się, nasuka, y na nim przestanie.
Oycowskiey pobożności dał mi świeżą probę,
Y postępki regenta ganiąc, y osobę,

Wſkazuie mi nieznacznie, y według ſumnienia,
Wſzyſtkie niebeſpieczeńſtwa tego połączenia;
Lecz gdy mi chce dać tegoż małżonkiem y panem,
Ociec moy na ten moment zda mi ſię tyranem.

FIDELSKA.

Gdyby mię iuż konieczność przymuſzała taka,
Wolałabym ſtarego wziąść ſobie żołdaka,
Ktory piie, przeklina, czaſem żonę grzmotnie;
Ale kocha, y potym przepraſza ſtokrotnie;
Niźli tego prawnika, ktory nakſztałt pawia
Sam ſię wpatruie w ſiebie, ſam zawſze wyſtawia;
Ktory z mędrkowſką miną, z nadętemi tony,
Zdaie ſię w ſprawie ſtawać, gdy mowi do żony;
Dumę ieſzcze przechodzą łakome w nim żądze,
Zaleca ſię z rozrywką, rachuiąc pieniądze.

ELŻUSIA.

Zywego nań twoy pęzel używa koloru;
Ale nie zoſtawiono w mey mocy wybioru.

Ktoż ſwoy los według żądań na zawſze upewni?
Iść za mąż, wiek moy radzi, przymuſzaią krewni,
A regent, ktorego ſię duſza moia boi,
Sam ieſt prawie w tych ſtronach, ktory mi przyſtoi.
Czas y cierpliwość, ktora wſzyſtko przezwycięża,
Potrafi moie odiąć nieſmaki do męża,
Y może obowiązkow dam dowody iaſne,
Znoſząc iego przywary, iak y moie właſne.

FIDELSKA.

Wſzyſtko to powiedziano bardzo wyśmienicie;
Lecz podobno ſerduſzko przeczy temu ſkrycie.
Nie wiem, czy ſię ośmielić? bo iuż tyle razy,
Nie mowić o tym ſtarſzym, dano mi zakazy.

ELŻUSIA.

Coż?

FIDELSKA.

O Walerym, ktory mimo czyny pſotne,
Pozyſkał był WaćPanny weſtchnienia pierwotne,
Ktory WaćPannę kochał.

ELŻUSIA.

Kochał mię, a znika;
Nie wspominaymy więcey tego obłudnika.

FIDELSKA, *odchodząc.*

Nie wspominaymy.

ELŻUSIA, *zatrzymuiąc ią.*

Prawda, że iego powaby
Wznieciły wemnie płomień, lecz krotki y słaby;
Alboż on zaś był godzien cnotliwego serca?

FIDELSKA, *odchodząc.*

Ho! był to niebespieczny kobietkom oszczerca.

ELŻUSIA, *zatrzymuiąc ią.*

Kiedy go zwodziciele zewszech stron obsiedli,
Łatwo ku występkowi młodość iego zwiedli.
On od nich nieszczęśliwie omylony w guście,
Zamiast w kochaniu, szukał roskoszy w rospuście.

FIDELSKA.

Wszakże WaćPanna dawniey raczyłaś to wierzyć,

Że w iey miłości swoie chciał szczęście zamierzyć,
Że pod prawem WaćPanny słodko życie trawił.

ELŻUSIA.

Gdyby on szczerze kochał, byłby się poprawił.
Wierz mi, przystoyna miłość bez fałszu y sideł,
Silnych przeciw występkom dodaie wędzideł;
Y kto zdolny czuć w sobie porządne kochanie,
Albo iuż iest uczciwy, albo się nim stanie:
Ale Walery swoię kochankę zasmucił,
Ażeby rozwiozłości szerzey cugle rzucił.
Fałszywi przyiaciele, hultaie niegodni,
Ktorzy go tak zdradziecko wciągnęli do zbrodni,
Rozproszywszy mizernie posag iego matki,
Na iego karb oycowskie szarpali dostatki:
Widząc uwiedzionego od domowych progow,
Płakałam tylu wdziękow, y tylu nałogow.
Ale teraz los iego iuż mię nic nie tyka.

FIDELSKA.

Braciszek się na iego mieysce dziś pomyka,
Y będzie miał Elżusię, a prawdziwie szkoda;

Bo tamtego y piękna ſzczyciła uroda,
Głos miły, żartkość, zręczność, y ozdobna
mina;
Wcale był do miłośći ſtworzony chło-
pczyna.

Elżusia.

He! ....

Fidelska.

Przy tylu wyſtępkach w pośrzod błędow
zbioru,
Można było w nim poſtrzedz iakiś grunt
honoru.

Elżusia.

Do dobrego ſię rodził.

Fidelska.

Nie chcę go wyſławiać,
Ale mu przyznać trzeba, nie lubił obmawiać,
Ni kiedy ſzalbierował, ni podchlebiał podło,
Łakomſtwo go ſromotne nigdy nie uwiodło.

Elżusia.

Prawda, lecz.....

FIDELSKA.

Uciekaymy, iego brat nadchodzi.

ELŻUSIA.

Już mi ſię nawet teraz uciekać niegodzi.

SCENA IV.

ELZUSIA, FIDELSKA, SIECIECH.

SIECIECH.

Dziſiay pomyślna chwila z nocą przyidzie ciemną,
W ktorey ći, Pani, wierność przyſięgnę wzaiemną.
Już ſię gości zgromadza orſzak obiecany,
Y prześwietna paleſtra gotuie ſię w tany;
Radość ſwoię oświadczać nikt ſię nie opoźni.
Patronowie, agenci, ſuſceptant y woźni,
Wſkazuiąc palcem, rzekną: owa to ieſt owa,
Elżunia, a dziſieyſza naſza Regentowa.
Jeśli kiedy obrociſz twe kroki do grodu.

Krzykliwym tonem woźnego.

Uſłyſzyſz: *Moſpanowie, uſtąpcie przechodu.*

Takie uczczenie zmyfły napawa nektarem.
Przydaymy, że oycowfkim zbogacony darem,
Wnet zagarnę ftaroftwo, y część mego brata;
Coż mi braknie? ieft godność, ieft fpora intrata;
Gdy zważam, iż to wfzyftko y mnie bierzefz wdani,
Winfzuię, bo ieft czego winfzować ci, Pani.

FIDELSKA.

A ia nad moią Panią mufzę fię użalić,
Bo to ieft rzecz haniebna, famego fię chwalić;
Już też prawdziwie śmiefzny, kto w każdey rozmowie
Zawfze coś o fwym mieniu, y godności powie;
Y fam fię fobie dziwi że udatny cudnie,
Y pychą fię rozdyma, y z chciwości chudnie.
Prędzey uydzie pofzaleć, poki młoda pora;
Lecz młodego łakomca, mam za dziwotwora.

SIECIECH.

Bez mała ci wygodniey nie byłoby w fieni;
Wfzak podobno nie z tobą moy oyciec mię żeni?

Lecz z Jeymością. Więc tedy dobrzebyś zrobiła,
Gdybyś trochę ſzerokich uſteczek ztuliła,
Moie dziecię, twoia rzecz milczeć.

do Elżuſi.

Wiem, że Pani,
A moia wprędce żonka, także iey to zgani,
Nayłatwiey będzie doſtać inney ſłużebnicy,
Proſzęż, odegnać tego dragana w ſpodnicy,
Jam nie na wiatr regentem; iey gębuſi ſzturmy
Sprawią to, że ią każę zaſadzić do turmy.

FIDELSKA.

A brońże mię WaćPanna, a zmyiże mu głowę,
Nie dopuſzczay zamykać ſwoię pokoiowę,
Mogłby nas ten Jegomość zamknąć potym obie.

ELŻUSIA.

Z tych początkow moy umyſł ſmutno wroży ſobie.

FIDELSKA.

Mowże WaćPanna głośno, czegoż prożno mruczyć?

ELŻUSIA.

Coż mam mowić?

FIDELSKA.

Nakląć mu, nałaiać, nahuczyć.

SCENA V.

BIZARSKI, *y dawni aktorowie.*

BIZARSKI.

Znowu nam coś za kaduk świeżą ſztuczkę płata.

SIECIECH.

Coż takiego?

BIZARSKI.

Szukałem, gdzie twoy ſtary tata;
Ale widzę, że robi z podrożnym grymaſy,
Ktory dopiero wyſiadł z pocztowey kolaſy.

ELŻUSIA *ciekawie.*

Młody to był podrożny?

BIZARSKI.

Dziad o iednym zębie.
Wiele lat, tyle fałdow maiący na gębie.
Naſze ſiwce zaraz ſię po brodach młaſnęli,
Y wnet zgryźliwą iakąś rozmowę zaczęli;
Trzęſły ſię od wzdychania ich ſklepiſte grzbiety,
Jeden mowił *nieſtety!* y drugi *nieſtety!*
Uciecha było ſłyſzeć, ich wyiące głoſy;
Widzieć ſzlochami zlane, y wąſy, y noſy;
Staroſta rycząc, becząc, iak po iakiey ſtracie,
Poſzedł ſię potym w ſwoiey zakopać komnacie;
Mowi, że ſię do woli chce napłakać wprzody,
Niźli naſze przed-ślubne podpiſze ugody.
Zamknął ſię, a z tym wſzyſtkim, trzebaby ſię ſpieſzyć.

SIECIECH.

Ja nim rządzę, y zaraz idę go pocieſzyć;
Izba dla mnie koniecznie muſi być otwartą,
Jak mię ociec obaczy z ſtęplowaną kartą,
Wiem, że zaraz podpiſze; ſtaroſtwo, weſele,
Wydziedziczenie brata, nie ſą bagatele;
W takim razie nie mądry, kto czas darmo trwoni.

ELŻUSIA.

Ale moy Mości Panie, wſzak nas nic nie goni.

BIZARSKI.

Owſzem nas wſzyſtko goni, a przypiſać tobie,
Całe zpoźnienie trzeba.

ELŻUSIA.

W iakimże ſpoſobie?

BIZARSKI.

Jużby ſię to ſkończyło dawno, gdyby nie ty;
Wſzyſtkich zawſze zamięſzań przyczyną kobiety.

ELŻUSIA.

Gdy ieſtem obwiniana, niechayże wiem za co?

BIZARSKI.

Jeſzcze ci ſię mam ſprawiać? wſzyſcyście ladaco.

Ta zwłoka nie potrzebna, bałamuctwem trąci,
Idę widzieć kto nasze ułożenia mąci,
Te głowy do pozłoty wybesztam, wyłaię;
A ciebie chcesz, czy nie chcesz, dzisiay zamąż daię.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

SCENA I.

ELZUSIA, FIDELSKA.

FIDELSKA.

Coś, widzę? tym ſmutnieyſza u WaćPanny mina,
Im ſię bliżey weſelna przyſuwa godzina?

ELŻUSIA.

Im więcey takich związkow powinności zważam,
Tym ſię więcey ich ſtraſznym ciężarem przerażam:
Nie upatruię śrzodka, myśląc nad zamęściem,
Nayſłodſzą dolą, lub ieſt oſtatnim nieſzczęściem;
Gdy ſię dobierą ſerca y umyſły zgodne,
Guſt, y zdanie iednakie, humory łagodne;

Gdy ie miłość zespoli, ktorą honor czyści,
Wtedy kładźmy małżeństwo w naywyższey
korzyści.
Co za szacowna rozkosz! kochaiąc nieskrycie,
Nosić imię amanta, droższego nad życie.
Dom, dworscy, ktorych iego kolory barwiły,
Wszystko obraz kochanka przypomina miły;
A owa śliczna dziatwa, wiernych zakład chęci,
Z kochania narodzona, do kochania nęci,
Jeżeli się takowy hymen kiedy zdarza,
Niebieskie nam uciechy na ziemi przetwarza.
Ale kiedy zaś smutnym kontraktem przedano.
Stan, y swobodę naszę, y oyczyste miano;
Uważ moia Fidelsiu, iak to srodze boli!
W mężu Pana znaydować, służyć iego woli,
Unikać się, dzień w kłotni trawić niewesoły,
Bez miłości wieczory, bez zabawek stoły;
Obawiać się tyrana, lękać się rywalki,
Wpadać w ułomność, lub z nią wieczne toczyć walki;
Jęczeć pod iarzmem, ktore nieprzestannie
gniecie,
Hymen taki rzetelnym piekłem iest na świecie,

FIDELSKA.

O! iużem się też teraz założyć gotowa,
Że pociechy w Warszawie szukaiąca wdowa,
Ktorey

Ktorey ſię iuż zdarzyło trzech mężow pochować,
Nigdy lepiey małżeńſtwa niezdoła malować,
Ale obiaśnić trzeba, zkąd WaćPanna wſtręty
Czuieſz do tego ſtanu: wſzakże to ſtan święty,
Ze ieſt dość nieprzyiemna regenta oſoba,
Z nim ſię tylko podobno hymen nie podoba;
Czyby ſię ſmak nie prędzey do braciſzka zrodził?
Może ſtarſzy młodſzego w kochaniu przegrodził:
Znaſz WaćPanna mą wierność, odkryi mi zupełnie
Tę taiemnice prawdy, nie kryiąc w bawełnie.

ELŻUSIA.

Nic nie wiem, co mię może ku małżeńſtwu ziębić,
Wierz mi, w takim ſzukaniu nie chce ſię zagłębić;
Nie mogę dobrze doyrzeć, choćbym nawet chciała.
Sroga w cierpiącym ſercu przeſzkadza nawała.

FIDELSKA.

Zawſze roſtropne dziewczę w ſwoiey głowce zgada,
Zkąd ten wicher nawałę nioſący przypada.

Elżusia.

Ja zaś oczy zamrużam, y przez duchy wieſzcze,
Zgadać tego nie pragnę, czyli kocham ieſzcze,
Nieſzczęśnika, ozdobę, y hańbę młodzieży,
Ktorego nienawidzić przez rozum należy;
Niech zdaleka odemnie ten zdrayca Walery
Zyie, niech mu ſię ſzczęści, choć mi nie był ſzczery;
Y lubo urażoney, godzi mi ſię życzyć,
Zeby go gniewny ociec nie chciał wydziedziczyć;
Ja ſię nigdy niezgodzę na karę tak oſtrą,
Y przez iego zniſzczenie nie chcę mu być ſioſtrą;
Tey więc ſerca litości nie będę ſię parła,
Nie chciey w nim ſzperać głębiey... bobyś ie rozdarła.

SCENA II.

ELZUSIA, FIDELSKA, LOKAY.

Lokay.

Jeymość Pani Zdawnialſka, iakaś Podſtolina
Chce tu wniść.

Elżusia.

Ta wizyta dziwić mię poczyna.

Lokay.

Wdowa; lecz niezbyt świeża, bo iuż bez żałoby:
Mowi, że chce winszować.

Elżusia.

Nie widzę, czegoby?

Fidelska.

Może zamiany wieńcow starym obyczaiem.

Elżusia.

Czyż iestem w stanie słuchać, y oddawać wzaiem
Te prożne komplementa, te puste wymowy,
Te fałszywe grzeczności? zawrot bierze głowy.
Pracuiąc wiele mowić, a nic niepowiedzieć;
W takowym towarzystwie męka moia siedzieć

SCENA III.

ELZUSIA, ZDAWNIALSKA, FIDELSKA.

FIDELSKA.

Otoż Jeymość nadchodzi.

ELŻUSIA.

Coż to za ſzkarada!

FIDELSKA.

Znam ią, ma ſerce bierne, y pieniać ſię rada.

ELŻUSIA.

Kzeſckeł... moia Jeymość! przepraſzam, ieżeli? ...

ZDAWNIALSKA.

Moia Jeymość!

ELŻUSIA.

Nie lepiey, żebyśmy ſiedzieli?

ZDAWNIALSKA.

Ale ah! moia Jeymość!

ELŻUSIA.

Niechże Jeymość spocznie.

ZDAWNIALSKA *siedząc.*

Prawdziwie moia Jeymość mięszam się widocznie;
Chciałabym....

ELŻUSIA.

O co Jeymość?

ZDAWNIALSKA.

WaćPanny chciałabym
Okraść piękność, a przydać moim wdziękom słabym,
Łzy mi się wyciskaią, widząc cię tak ładną.

ELŻUSIA.

Przyim WaćPani pociechę.

ZDAWNIALSKA.

Zadną miarą, żadną;
Widzę, że kogo tylko za męża zapragniesz,
Mieć będziesz; nayhardzieyszych pod twe korki nagniesz:
Ja też miałam iednemu poprzysiądz w kościele,
Jednegom tylko miała, wszak to dość niewiele,

Ledwie go ſobie ſiatką uchwyciłam złotą,
WaćPanna mi go biorąc, czyniſz mię ſierotą,
Już też z obyczayności wyiść powinno granic
Zabierać temu wſzyſtko, kto prawie nie ma
nic.

ELŻUSIA.

Przepraſzam, że WaćPani widziſz mię
zdumiałą
Nad iey nawidzinami, y rozmową całą.
Zkąd do mnie pretenſya rościć ſię poczęła?
Co WaćPani utracaſz, y com ia ci wzięła?

ZDAWNIALSKA.

Znam ia, moia kochanko, takie ſtare wygi,
Ktore płocho mniemaią, że przez modne
krygi,
Przez tynkowanie twarzy, kupne zębow rzędy,
Stanowią miłość, roſkoſz y czaſow rozpędy,
Nieſzczęściem! ia mam rozum, wſzyſtko wi-
dzę miia,
Wſzyſtko więdnie, y ta mię uwaga zabiia.

ELŻUSIA.

Szkoda, że ſię muſiemy pod tym prawem
rodzić;
Lecz nie ieſt w moiey mocy WaćPanią odmło-
dzić.

ZDAWNIALSKA.

WaćPanna mię ſpoſobem tymbyś od-
młodziła,
Gdybyś mi oblubieńca moiego wrociła.

ELŻUSIA, z *żywością*.

Mianuyże mi WaćPani tego oblubieńca?

ZDAWNIALSKA.

Regenta, niewdzięcznika, zdraycę y od-
mieńca,
Za ktorym ſama ścigam, y rozſyłam ſzpiegow,
Y ktory niewart moich tak wielu zabiegow.
Oh! pokim ieſzcze była mey młodości bliſka,
Wſpomnieć ſobie żadnego nie dałam pod-
piſka. *
Znałam ich zdanie liche, ich rozmowę nudną,
Ale włos ſzpakowaty mniey mię czyni trudną.

ELŻUSIA.

Wreſzcie coż ſię to znaczy?

* Regent w prawdziwey Polſzczyźnie zwie ſię *Podpiſek* in Vol: Legum.

ZDAWNIALSKA.

To ſię wreſzcie znaczy,
Że mię WaćPanna wpędzaſz do ciężkiey rozpaczy.

ELŻUSIA.

Jak, y przez co?

ZDAWNIALSKA.

Zwyczaynie iak przyſtoi wdowie,
Często na Trybunałach ſiadałam w Piotrkowie,
Tam Pan Sieciech Dobrucki, będący w Paleſtrze,
Pierwſzym w mych zalotnikow pragnął być regeſtrze.
Umizgał ſię, uſkarżał na ſerdeczne rany,
Choć nieuczciwą ku mnie miłością był grzany,
Prawdziwie nieuczciwą; bo ten niby czuły,
Nie tak ſię do mnie wdzięczył, iak do mey ſzkatuły:
Piſałam oycu iego, y przeſłałam liſty,
W ktorych mi ſyn oświadczał ſwoy affekt ſtrzeliſty;
Swatowie, gdy pytali, czyli przyſtać raczy,
On na to odpowiedział, że wkrotce zobaczy.

Wiem, że WaćPanna teraz iesteś przeświadczona,
Iż ta rzecz między nami była iak skończona.

ELŻUSIA.

Widzę.

ZDAWNIALSKA.

Ja z moiey strony byłam dość gotowa
Dotrzymać Regentowi raz danego słowa;
Właśnie wtedy starszego brata ożenienie
Następować z WaćPanną miało.

ELŻUSIA.

O! wspomnienie!

ZDAWNIALSKA.

Ten Walery, iak słyszę, był szaleniec isty,
Ktory ci się miał dostać przez związek wieczysty.

ELŻUSIA.

Ah!

ZDAWNIALSKA.

Ten tedy wartołeb przez swe płoche czyny,
Gdy zniknął, do ostatniey przyszedłszy ruiny,

Błąkacz, z domu wyklęty, może iuż nie żywy!
(Coż to bledniesz?) nasz Regent na pieniążki
chciwy,
Począł ciekawie ważyć moie z twoim wiano;
A widząc, że z WaćPanną więcey będzie
dano,
Pogardza moy maiątek, y moie wzdychanie,
Do WaćPanny posagu obraca kochanie,
Y w ten wieczor ma złożyć głowę na iey łonie.
Ale wszakże y w starym, y nowym zakonie,
Z brata na brata skakać było to za winę,
Y całą samey sobie zaymować rodzinę;
Uczyniłam manifest o takową zdradę,
Teraz inhibicyą urzędowną kładę.
Choćbym miała przepieniać wniosek y oprawę,
Zacznę z Regentem w Polszcze y we Włoszech
sprawę,
On, y WaćPanna, y ia, me dzieci pospołu,
Nim się sprawa zakończy, poydziemy do
dołu.

ELŻUSIA.

Moia Pani! widzisz mnie rzetelnie zmar-
twioną,
Że się WaćPani sądzisz odemnie skrzywdzoną;
Cierpliwa dosyć iestem, ale muszę syknąć,
Y nieszczęśni nie mogą zawiści uniknąć;

Do zazdrości WaćPani nie widzę przyczyny,
Nie racz, proſzę, nieſłuſzney walić na mnie winy;
W tey mierze bardzo łatwo możemy ſię zgodzić,
Ja o męża do prawa nigdy nie chcę chodzić.

ZDAWNIALSKA.

Nie lubiſz ſię pozywać?

ELZUSIA.

Weź go darmo ſobie

ZDAWNIALSKA.

To to nie wielki czuieſz ſmak w iego oſobie?
Nie kochaſz go?

ELŻUSIA.

Niech ſię, z kim chce, żeni
Mały mam ſmak w małżeńſtwie ieſzcze mnieyſzy w pieni.

SCENA IV.

BIZARSKI, ELZUSIA, ZDAWNIALSKA.

BIZARSKI.

Wey, wey, wey! coż to znowu za ſigle niewieście!
Coś mi tu o iakimſi ſzepcą Maniſeście,
Co? kto? iako? niech mi tu ſtanie teraz śmiele,
Nauczę ia te baby gwizdać po kościele.

ZDAWNIALSKA.

Zamiaſt ulgi w ſtrapieniach nowe krzywdy znoſzę,
Mości Panie Bizarſki, wyſłuchay mię proſzę.

BIZARSKI.

Coż tędy?

ZDAWNIALSKA.

Łotr wierutny zięłaſzek WaćPana,
Zdradził mnie, wiara w niczym nie ma mu być dana,
Galant łakomy tylko zaleca ſię ſkrzyni,
Y wdowki oſzukuie.

BIZARSKI.

Bardzo dobrze czyni.

ZDAWNIALSKA.

Przyrzekł dozgonnie lubić moie piękne lice.

BIZARSKI.

A ktoż zaś dotrzymuie takie obietnice!

ZDAWNIALSKA.

A potym mię w okrutney tęſkności zoſtawił,

BIZARSKI.

Y iabym w rowney mierze podobnie ſię ſprawił.

ZDAWNIALSKA.

Idę ſkarżyć przed oycem, on temu poradzi.

BIŻARSKI.

Ha! moia Dobrodzieyko! niech Pan Bog prowadzi.

ZDAWNIALSKA *z żywością.*

Na tak ſzpetny poſtębek każda krzyknie dama.

BIZARSKI.

Może mniey krzyku zrobią, niż WaćPani ſama.

ZDAWNIALSKA.

Poznacie po nieczaſie ſrogość tego błędu,
Co to chybiać Wendeńſkim urzędniczkom względu.

BIZARSKI.

Fraſzki to ſą!

ZDAWNIALSKA.

Ah męża trzeba mi koniecznie!
Jemu, oycu, lub tobie, chcę ślubować wiecznie.

BIZARSKI.

Jak, iak? mnie chceſz zaślubić?

ZDAWNIALSKA.

Waſzeci Moſpana,

BIZARSKI.

Ba!

Zdawnialska.

To poydziem do prawa.

Bizarski.

Marysia

Coż za opętana!

SCENA V.

BIZARSKI, SIECIECH, ELZUSIA.

Bizarſki do Elżuſi.

Wać to wſzyſtkiemu winna, chcę wiedzić, zaco ty
Sprowadzaſz mi do domu te babſkie kłopoty.

do Regenta.

A ty, panie wdowkołow, zkądżeć ta ochota,
Będąc ponurym, cięźkim, uchodzić za trzpiota,
Y ty także puſtakiem chceſz być, day go katu!
Nie mowię ieſzcze twemu świſzczypałce bratu,
Ale ty! ty!

Sieciech.

Tey wdowie dałem obietnicę,
Ktorą można beſpiecznie wywrocić na nicę,
Bo reſkrypcya w myśli była uczyniona,
Jeśliby mi bogatſza trafiła ſię żona;

Kiedy więc teraz ociec wydziedzicza brata,
Przez co moia potroynie zwiękſza ſię intrata,
Kieruię w dom WaćPana moie przedſięwzięcia,
Pieniążki wſzyſtko robią, y teścia y zięcia.

BIZARSKI.

Dobrze mowi, prawdziwie, y ia ſię z nim zgodzę.

ELŻUSIA.

Zeby tey dobrey mowy nie ſłyſzeć, odchodzę.

Bizarſki, do Sieciecha.

Zoſtańże Wać, tak zięciu, niech kto co chce plecie;
Pieniądz wſzyſtko ſzafuie, y rządzi na świecie,
Choćby łeb Salomona niebo komu dało?
Muſi łapy polizać, gdy ma w trzoſie mało.
Ale kto umie zbierać, a nigdy nie roni,
Choć większy truten, iak ty... każdy mu ſię ſkłoni.
Kończmy, Zdawnialſka ziſzcze, że ſię z nią powadzę,
A wam dziſiay pod głowy ſto tyſiączkow wſadzę,

Gdzież

Gdzież się bawi Starosta tak długo czekany?
Podpiszmy, niż on przyidzie.

ELŻUSIA.

Nie, oycze kochany,
Niech też y ia cokolwiek władnę mym szafunkiem,
Nie chcę się oddać tylko pod pewnym warunkiem.

BIZARSKI.

Coż ty sobie waruiesz, moia głowo pusta?
Ty mowisz...

ELŻUSIA.

Co mam w myśli niech wyrażą usta:
Niech nas tego wydzierstwa pożytek nie mami,
Wszak się nie godzi karmić nieszczęsnego łzami.
do Sieciecha.
Wydziedziczenie brata racz WaćPan odwrocić,
Y nie chciey go bezecnym podstępem gołocić.

SIECIECH.

Ja zaś ? iakiego brata? od pierwszey młodości
Nie miałem szczęścia widzieć tego Jegomości:
On to był trzecie oczko, mnie trzymano w szkole,
Kazano mi z Papierow potym trzepać mole,
Y niżlim do stawania iak trzeba przywyknął,
Już on z rodzicielskiego domu gdzieś był zniknął;
Słyszałem tylko potym, iak się pięknie sprawiał
Przez co nas wszystkich wstydu niemało nabawiał.
Niechby się tu pokazał teraz nieboraczek,
Wiemy co z tym uczynić, wnet poydzie do taczek.

ELŻUSIA.

A iuż też bardzo z tego gorszę się Mospanie,
Także to czynią bracia ? tak to Chrześcianie?
Więzić go, zabrać po nim, chętki miałbyś szczere,
Ja na to nie przystanę nigdy.

BIZARSKI.

Tere fere.

Ciſzey ! iuż transakcya ze wſzyſtkim gotowa,
Nic nie brakuie, tylko podpiſać dwa ſłowa.

SIECIECH.

Wſzak to naſi przodkowie ſtanowią otwarcie,
Wolno ſobie przeczytać na dwudzieſtey karcie,
Gdzie Herburt tak opiewa „Syna rozpuſtnika,
„Ktory z oycowſkich progow bez wiedzy umyka.
„Lub ie niſzczy, lub życie prowadzi wſzetecznie,
„Od wſzelkiego naſtępſtwa oddalamy wiecznie.

ELŻUSIA.

Ani w konſtytucyach, ani ia w ſtatucie
Czytywałam, lecz wnętrzne tak przeświadcza czucie,
Ze to byli ci ludzie wcale bez ſumnienia,
Maiący rozum ciemny, y ſerce z kamienia,
Jeżeli w ſwoich xięgach nakazali kiedy,
By brat bratu dopuſzczał zaginąć od biedy,
Natura y uczciwość maią ſwoie prawa ;
Więcey warte niż waſza w Herburcie uſtawa.

BIZARSKI.

Eh! porzućcie Herburta tego bałamuta.
Co ia zalecam zrobić, to dla was ſtatuta.
Zaprzątać ſię tym ſtarſzym zkąd ty maſz ochotę?
Wſzak trzeba mieć doſtatek.

ELŻUSIA.

A naypierwey cnotę,
Y kto go prześladuiąc wyrządza mu ſzkodę,
Ten moiey przeto ręki nie weźmie w nadgrodę.
Wyrzućmyż ten Artykuł, ktory ſławę maże,
Interes go podſzepnął, honor zetrzeć każe.

SIECIECH.

Właſnego nie zna dobra!

BIZARSKI.

Już czas upłyniony
Chceſz ty mieć większy rozum niżli dwa patrony.
Odmieniać intercyzę?

ELŻUSIA.

Nie raz ſię tak czyni.

BIZARSKI.

Nie będzieſz ty, iak widzę, dobra goſpodyni,
Wſzyſtko ſtraciſz.

ELŻUSIA.

Nie mam ia doświadczenia wiele,
Jak ſię nayłatwiey droga do maiątku ściele;
Ale ieśli dom czynić los na mnie naciera,
Niechayże ſię grunt iego na ſłuſzności wſpiera.
Zdradny ieſt zyſk nieſłuſzny, niech go kto chce chwali,
Uiaśnia domy na czas, a potym obali.

BIZARSKI.

Na zięciu, muſiſz ſię coś dla brata uſzkodzić,
Ażeby uporowi babſkiemu dogodzić.

SIECIECH.

Już ci mu trzeba dać co, gdy nas przymuſiła,
Daię więc .... bratu .... daię ....

BIZARSKI.

Nię dayże zaś ſiła.

SCENA VI.

BIZARSKI, ELZUSIA, SIECIECH.

Klimunt *idzie pomału zamyślony y wzdycha.*

Bizarski.

A iakżeś nas, Tatusiu, tym poźnieniem wędził!
Poydź, poydź, iużem ia Corkę na rozum napędził.
A ruszayże się przecie.... poyzrzyiże wesoło....
Niebądź no taki ścierpły, rozfałduy to czoło;
Przed rokiem z dzieci naszych mieć będziem prychowek;
krzesząc podkowkami.
Na to wspomnienie, ognia dobywam z podkowek.
Podpisuymy

Klimunt.

W tym czasie nie mogę moy bracie.

Sieciech.

A czemuż to nie można teraz ?

Bizarski.

Ot że macie.

Ji z temi pułgłowkami co ia tu mam biedy!
Każdy mowi, nic. Ale czemu? iak? y kiedy?
Powiedzże.

KLIMUNT.

Przyrodzenia gwałciłbym przepiſy,
Gdybym teraz miał czynić takowe podpiſy.

BIZARSKI.

Oho! to iuż zapewne naſza Podſtolina
Do nowych Cereglielow podburzać zaczyna.

KLIMUNT.

Tey niewiaſty poiętność w raz z urodą zwięgdła,
Prożne ſobie nieboga chimery uprzędła;
Lecz nie zdoła rozerwać hymen ułożony,
Moie zaś umartwienia z inney przyſzły ſtrony.

BIZARSKI.

To ten łyſoń podrożny co ſię dziś nagodził,
Może nam z iakiey miary tańcować przeſzkodził?

KLIMUNT.

Co mi rzekł, muſi przewlec weſelną godzinę.

ELŻUSIA.

Coż Mości Dobrodzieiu?

SIECIECH.

Jakąż to nowinnę?

KLIMUNT.

On w Gdańſku mego ſyna w ſrogiey widział nędzy,
Odartego, w chorobie, w głodzie, bez pieniędzy,
W więzieniu bez żadnego do życia ſpoſobu,
Tęgość ſmutku y hańby wlokła go do grobu,
Odieżdżał leżącego w śmiertelney pościeli,
Teraz go iuż zapewne wieczność od nas dzieli.

BIZARSKI.

To iuż iego zupełnie wypłacona ſcheda.

ELŻUSIA.

Już miał umrzeć

BIZARSKI.

Smutek mu życia nazad nie da;
Wreſzccie o ći do tego?

Sieciech.

Patrz WaćPan iak zbladła,
Słabość na nią uderza, dobrze że nie padła!

Bizarski.

Ha! Machlerko! znam ia cię, mowić o tym ſzkoda,
Ale ponieważ umarł, to y z nami zgoda.

Sieciech.

Moy oycze na coż iednak....

Klimunt.

Będzie ona twoią.
Ale przy dniu żałobnym gody nie przyſtoią,
Czyliż należy mięſzać do takiego święta,
Troſki, ktoremi moia duſza w ſkroś przeięta?
Y kwiaty, ktore macie na ſwych czołach, noſić,
Łzami rodzicielſkiemi nieprzyiemnie zroſić?
Day mi tedy, moy ſynu, ten dzień do wzdychania,
Y racz troſzkę odłożyć ſłodycze kochania.

ELŻUSIA.

Y mnie się dziś tym smutkiem będzie miley dzielić,
Aniżeli na uczcie ślubney się weselić.

SIECIECH.

Ale iakże to będzie ?

BIZARSKI.

Gdzie rozum, gdzie głowa!
Y nacoż tu odwłoczyć kiedy rzecz gotowa?
Bo gdyby to dla kogo.... ale dla marnika
Ktoregoś wydziedziczał iako niewdzięcznika.
Ktoregoś wyklął, czegoż smucić się daremnie!

KLIMUNT.

Z tym wszystkim głos natury odzywa się we mnie,
Bolałem nieraz widząc iego winne sprawy,
Dziś boleię, że umarł bez żadney poprawy.

BIZARSKI.

A iuż mię też to bardzo, moy bracie, obchodzi!
Lepszych się nawet rzeczy żałować niegodzi,
Bo się to na nic nie zda. Ale kiedy z ciebie
Przypadek ciężar zwalił, gdy hulakę grzebie,

Prawdziwie śmieſzny ieſteś z tym niewczesnym żalem,
Niebyłbyś ty żył długo z takowym ſynalem.
Nieraz iego ſzaleńſtwo zdrowia ci uięło,
Podziękuy niebu, że ci takie dziecko wzięło.

KLIMUNT.

Ah! z podwoyney przyczyny będę we łzach brodził,
Płaczę, że teraz umarł, płaczę, że ſię rodził.
odchodzi.

BIZARSKI.

Idź, za oycem zniewol go na ten podpis przyſtać,
Zawſze żywi z umarłych powinni korzyſtać.
Już nie czas zemną teraz ſtroić korowody,
Weź mu rękę, niech piſze. — Bieżże Panie młody.
Choć ta rzecz, moia corko, zda ſię iść powoli,
Ten wieczor wſzyſtko ſkończy.

ELŻUSIA.

Eh! ſerce mię boli.

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

SCENA I.

WALERY, HOŁOTKIEWICZ.

HOŁOTKIEWICZ.

Oy tak! tak miły bracie, byłem w twoim domu,
Służyłem ći dwa roki, ſam nie wiedząc komu;
Za coś ſię ty zwał Graffem, choć ieſteś Polakiem?
Dziś nas uboſtwo rowna odzianych paklakiem.
Gdzie ſię owe podziały gry ſzumne, parady?
Zabawne damuleńki, rozkoſzne bieſiady;
Wſzyſtko to kaduk ſpiſkał; wygaś to z pamięci,
Co z dymem uleciało, niech prożno nie ſmęci.
Wſpomnienie ſtraty ſzczęścia bol rodzi niezmierny,
Ja zawſze Hołotkiewicz, mniey ieſtem mizerny,

Cierpliwie biedę klepię, bom zaraz od młodu
Przywykł do niedostatku, niewczasu y głodu;
Wstydzi ćię ten kapelusz, te liche łachmany,
Ja takiemi na święto bywałem przybrany.
Y tobieby tak tkliwie smutek nie dogodził,
Gdybyś Hołotkiewiczem, iak y ia się rodził.

WALERY.

Jak wiele poniżenia z ubostwem się wlecze!
Jeszczeż mię y ty biedny zawstydzasz człowiecze?
Piersi moie rażących nie przydaway mieczy,
Bo co naygorsza, czuię że mowisz do rzeczy;
Ale iednak nie wątpię o dobrey ochocie,
Chcesz mnie cieszyć, iak możesz, przy twoiey prostocie,
Za grubszość twoiey duszy hoynieś mi odpłacił,
Boś dla mnie w mey niedoli ludzkości niestracił,
Y chociaż mię fortuna odbieżała śliska,
Wspierasz mię pod ciężarem, ktory mię przyciska;
Los moy wesoło znosisz, kiedy mię krwią blíscy,
Y przyiaciele nawet odstąpili wszyscy.

HOŁOTKIEWICZ.

Jacyż to są, ktorych ty zowiesz przyiacioły?

WALERY.

Widziałeś ich, gdy moie obsiadali stoły,
Gdy do mnie uczęszczali na uczty wieczorne;
Chwaląc smak moich potraw, y trunki wyborne,
Ofiaruiąc mi swoię pomoc w każdym czasie,
Wielbiąc mię przytomnego.

HOŁOTKIEWICZ.

O biedny głuptasie!
Ktoryś kiedy szczerości szukał w parasycie,
Nie zważałeś iak ciebie wyszydzali skrycie,
Obiedli cię, opili, brali upominki,
Z twey zbytniey rozrzutności stroiąc sobie drwinki.

WALERY.

Ja temu łatwo wierzę; bo kiedy nareszcie
W Gdańskim mię zasadzono za długi areszcie,
Lubom się dosyć długo w tey ciemnicy męczył,
Zaden z owych przyiaznych za mnie nie zaręczył;

Z tym, co się duszą prawie dzieliłem na poły,
Skorom do niego przyszedł, y chory, y goły;
Teraz, rzekę, w przygodzie ratuy mię moy bracie,
Bo iuż iestem w ostatniey y mizerney szacie.
On indziey wzrok obrocił, y chytro zaniemiał,
Jak gdyby nigdy zemną znaiomości nie miał,
Potym mię iak natręta za drzwi wyforował.

HOŁOTKIEWICZ.

Żaden cię nie pocieszał, żaden nie ratował.

WALERY.

Żaden, choć ich prosiłem o rzeczy zbyt małe.

HOŁOTKIEWICZ.

Oy tacy przyiaciele bezczelniki całe!

WALERY.

Że skały pierś u ludzi.

HOŁOTKIEWICZ.

Jakże też kobiety?

WALERY.

Oſzukałem ſię na ich offertach nieſtety!
Ta nad inne, ktora mię miłuiąc tak iawnie,
O ſwym mi przywiązaniu prawiła uſtawnie,
W domu, ktorym iey moią upięknił ſzczo-
drotą,
Kupowała miłoſnych zdartą zemnie kwotą;
Częſtowała ich winem z mey niegdy pi-
wnicy,
Kiedym ia z głodu konał na teyże ulicy.
Y tak Hołotkiewiczu, gdyby nie ratunek
Starca, ktorego w Gdańſku zdarzył mi tra-
funek,
Ktory mię znał, iak mowi, gdym i eſzcze
był w ſzkole,
Jużby była śmierć moie zakończyła bole.
Ale gdzieżeśmy teraz przyśli, moy kochany?

HOŁOTKIEWICZ.

Alboż ci to Kaliſkie nieznaiome ściany?
Mowią, że moy Pan dawny Bizarſki nieiaki,
Tu teraz przemięſzkiwa nayczęściey.

WALERY.

Kto taki?
Bizarſki! ktory? mięſzka tu pod temi dachy?

HOŁOTKIEWICZ.

Jeſt to imie iednego dziwaka rubachy;
Miałem honor u niego.... obracać pieczenie;
Lecz gdy mię w świat poniosło moie przeznaczenie,
Byłem potym węgrzynkiem, turkiem, wytykaczem,
Laufrem, krukiem; od krukow uciekłſzy tułaczem,
Fliſem; nakoniec w Gdańſku przyſtałem do ciebie.
Może nam P. Bizarſki w ninieyſzey potrzebie
Wyświadczy co, gdy wſpomni na moie uſługi.

WALERY.

Jakieś mu podziękował, ieſtże to czas długi?

HOŁOTKIEWICZ.

Trzynaſty rok. Bizarſki ma dwa charaktery;
Y pocieſzny ſię zdawał, y pełen cholery.
W rzeczy ſamey człek dobry, corkę miał iedyną,
Roztropniuchne to było choć ieſzcze dziecinĄ,

Kleynocik, a nie dziewczę, okolicy dziwy;
Ow nośek, owe oczka, ow rumieńczyk żywy.
Miało to mego czaśu ſześć albo ſiedm latek...
Terazby to był właśnie do zerwania kwiatek,
Jeśli go kto nie zerwał.

WALERY.

Ah!

HOŁOTKIEWICZ.

Prożno ći prawić;
Nic cię moia rozmowa nie może zabawić;
Jajdarmo słowa tracę, ty wzdychaſz głęboko,
Y w uſtawiczney pławiſz kąpieli twe oko.

WALERY.

Czy ślepota przypadku.... czy nieba zrządzenie....
Dolę moię mizerną na te mieyſca żenie!

HOŁOTKIEWICZ.

Czemu ſię w te ciekawie wpatruiąc goſpody,
Zamyślaſz ſię, y twoie łza kropi iagody?

WALERY.

Mam do tego przyczyny.

HOŁOTKIEWICZ.

Znaſz ty Bizarſkiego?
Kto wie, może ty ieſteś iaki krewny iego?

WALERY.

Day mi pokoy, wſpominać nie chcę o mym ſtanie.

HOŁOTKIEWICZ, *ściſkaiąc go.*

Ale moy przyiacielu, moy kochany Panie,
Coż ty za ieden ieſteś, powiedzże mi przecie?

WALERY.

Jeſtem... ſzaleniec... głupiec naygorſzy na świecie;
Y gdybym ia był umarł zaraz po powiciu,
Smierćby mi była zyſkiem.

HOŁOTKIEWICZ.

Lepiey myśl o życiu.
Umrzeć głodem rowna ſię nayſtraſzliwſzey męce,
Ale rachuyno dobrze, mamy cztery ręce,
Uſłużmy ſobie niemi odłożywſzy żale.
Widziſz ty w tym ogrodzie kopiące gruntale,
Zaciągmy ſię między nie; to motyką rycie
Może nam dąć y żywność, y grzbietu okrycie.

WALERY.

Ci ludzie podli zgięci w robocie bydlęcey,
Znayduią pewnie od nas ſzczęśliwości więcey.
Nie znużeni fraſunkiem y ſumnienia woyną,
W ciałach zmocnionych duſzę chowaią ſpokoyną.

SCENA II.

ZDAWNIALSKA, WALERY, HOŁOTKIEWICZ.

ZDAWNIALSKA, *w odległości.*

Sądzęż dobrze, czy mi ſię przewróciło w głowie?
Wſzak tego na kontraktach widziałam we Lwowie.

wpatruiąc ſię w niego.

Nie. Bo tamten był piękny, miał dosyć na zbytki;
A ten zaś, zdaie mi ſię, ubogi y brzytki.

zbliżaiąc ſię do Walerego.

Ten ſam, ale choroba muſiała go zchłoſtać,
Uboſtwo też odmienia ieſzcze gorzey poſtać.

HOŁOTKIEWICZ.

Ale czegoż chce od nas ten dziwotwor
babi?
Czy nas urzeka? czy nas ſwoim ślepiem wabi?

WALERY.

Coś mi, żem ią gdzieś widział, pomyśli ſię
toczy.
O moy Hołotkiewiczu! gdy te ſame oczy,
Ktore moię widziały świętność, widzą nędzę,
Te momenta w przykrości naydotkliwſzey
pędzę.
Idźmy ztąd.

ZDAWNIALSKA.

Moie dziecko, coż to za przyczyna
W taki cię ſtan wtrąciła?

WALERY.

Moia właſna wina.

ZDAWNIALSKA.

Miłyż Boże! iakże ci braknie teraz wiele!

HOŁOTKIEWICZ.

Tak nas to wyſtrychnęli naſi przyiaciele;
Ze wſzyſtkiego nas ręką obrano niewierną.

ZDAWNIALSKA,

Przez kogoście zkrzywdzeni?

HOŁOTKIEWICZ.

Przez dobroć niezmierną.
Oh! naſi rozboynicy ſą to zacni ludzie,
Grzeczne prożniaki w dworſkiey ćwiczone obłudzie,
Łykacze, mowcy, gracze, ktorych dowcip ſłynie,
Y uczciciele w domu, y ziemſkie boginie.

ZDAWNIALSKA.

Już rozumiem, wſzyſtkoście przehulali marnie,
Ale ſto razy większy ſmutek was ogarnie,
Jak ſię tylko dowiecie o nieznośnych ſzwankach,
Ktore teraz na moich ponioſłam kochankach.

WALERY.

Do nog upadam.

ZDAWNIALSKA.

Stoyże bo ia cię nie puſzczę.
Będzieſz mię, wiem, żałował iak, ci rzecz wyłuſzczę.

WALERY.

Już WaćPani żałuię.

ZDAWNIALSKA *przytrzymuiąc go.*

Nie odeydziesz wprzody,
Poki ci choć ostatniey nie powiem przygody.
Gdyś we Lwowie porobił... burdy o kobiety,
Klechę oknem wyrzucił, pochlustał bagnety,

Odchodzi WALERY, *Zdawnialska go goniąc mowi:*

Sieciecha Dobruckiego Jurystę z rzemiosła,
Miłość do mego domu w rok potym przyniosła.
Ten zaś Sieciech Dobrucki, na tym teraz gruncie
Mieszka przy oycu swoim staruszku Klimuncie.

WALERY, *wracaiąc się.*

Dobrucki z oycem swoim!

ZDAWNIALSKA.

Ha tak:

WALERY.

A czy można!
Klimunt, ktorego duſza prawdziwie pobożna
Czyni dobrze, iak ſłychać y myśli wſpaniale
Ma ſię znaydować...

ZDAWNIALSKA.

Takci.

WALERY.

Na tych mieyſcach!

ZDAWNIALSKA.

Ale.

WALERY.

Mogęż przynaymniey wiedzieć... w iakim zdrowia ſtanie.

ZDAWNIALSKA.

W dobrym. Ale zkądże ci to prożne pytanie?

WALERY.

Coż też mowią...

ZDAWNIALSKA.

O kimże?

WALERY.

Wſzak nie iedynaka
Ma Pan Dobrucki ſyna?

ZDAWNIALSKA.

Drugi był hulaka,
Utracyuſz, koſtera, przytym ſzaławiła,
Nie wiedzą, w ktore ſtrony płochość go wpędziła,
Może go tam w taraſie dłużnik iaki więzi,
Może iuż gdzie nogami dynda na gałęzi.

WALERY.

Zal mi bardzo.. żem przerwał WaćPani rozmowę,

ZDAWNIALSKA.

Słuchayże tedy dalſzą przygody oſnowę:
Ten Sieciech chciał koniecznie bym mu była żoną.

WALERY.

Pewnie iuż mu WaćPani ieſteś zaślubioną?

ZDAWNIALSKA.

Nie, bo go znowu nagle inſzy wiatr podwionął,
Gdy cząſtkę po ſwym bracie marniku pochłonął;
Jeſt tu Bizarſki bogacz a wielki maruda,
Tego corkę chce poiąć, ieśli mu ſię uda.

WALERY.

Co mi WaćPani mowiſz! iego corkę bierze?

ZDAWNIALSKA.

Ledwie ſię ztąd nie wściekę, przyznam ci ſię ſzczerze.

WALERY.

Ah... on ſię waży ſięgać po rękę Elżbiety,
Ktorey mi Hołotkiewicz przedziwne portrety
Dopiero odmalował?

ZDAWNIALSKA.

Coż ten człek u licha
O wſzyſtko ſię fraſuie, y nad każdym wzdycha!

Walery *na ſtronie*,

Już mi ten cios oſtatni, odeymuie życie.
do Zdawnialſkiey.
Pokrzywdzenie WaćPani czuię należycie;
Y ieśli to cokolwiek odemnie zawiśnie,
Upewniam, że ten iego nowy związek pryśnie.

Zdawnialska.

Większą nademną, niżlim mogła ſię ſpodziewać,
Maſz litość; mizeraki lubią ubolewać:
Wiem żeś mniey o tey myślał miłoſierney cnocie,
W ten czas, gdyś ſię przewalał po ſrebrze y złocie.
Słuchay, winniśmy ſobie dopomagać ſſornie.

Hołotkiewicz.

Dopomożże nam Pani, proſiemy pokornie.

Zdawnialska.

Do niektorych czynności chciałabym cię użyć.

Walery.

A w czymże ia WaćPani zdołałbym uſłużyć?

ZDAWNIALSKA.

Jak ſię lepiey zſryzuieſz y odmieniſz odzież,
Można cię ieſzcze wliczyć między piękną młodzież,
Maſz przyiemną wymowę, maſz y dowcip gładki;
Umieſz iak trzeba ſtawiać na dziewczęta ſiatki,
Zrobże tak: wkręćże mi ſię do Sieciecha domu
Swieć mu bakę otwarcie, ſzkodź mu pokryiomu,
Gdy ia pozew na pozew iemu będę walić,
Ty ſię ſtaray Elzuſi ſerduſzko rozpalić.

WALERY *widząc wchodzącego oyca ucieka.*

O! przebog....

ZDAWNIALSKA.

Gdzie ty bieżyſz? poſtoy nie uciekay!

HOŁOTKIEWICZ.

WMPani ſię ſnadź boi.

ZDAWNIALSKA *bieżąc za Walerym.*

Ty, tchorzu, poczekay!

SCENA III.

KLIMUNT, HOŁOTKIEWICZ.

KLIMUNT.

Ten nieborak zaledwie odemnie doyźrzany,
Roziątrza niezgoione ſerca mego rany,
Mina iego uczciwa, wiek y ułożenie,
Niezwykłe iakieś wemnie budzą poruſzenie:
Ile kroć widzę kogo w nieſzczęśliwym ſtanie,
Zaraz mi moy zginiony ſyn na myśli ſtanie;
Ten ſyn, albo iuż umarł, albo w biedzie ięczy,
Albo w rozpuście tonie, y tym oyca męczy:
Dolegliwości do mnie zewſzech ſtron ſię kwapią:
Dwoch tylko miałem ſynow, obydwa mię trapią;
Jeden, że ſtracił życie, lub go źle używa,
Boleśćią rodzicielſkie wnętrzności przeſzywa;
Drugi w ſwywolę wpada znaiąc ſwoię gorę,
Że tylko na nim ſamym zakładam podporę:
Życie me iuż nieznośne zdaie mi ſię brzemię.

Poſtrzegaiąc Hołotkiewicza, że mu ſię kłania.

Czego chceſz, przyiacielu?

HOŁOTKIEWICZ.

A Pan, poznałże mię?
Ja to ow Hołotkiewicz; poczciwy czelada,
Ktorym się u Pańskiego wychował sąsiada.

KLIMUNT.

Tyżeś to iest, moy bracie? czas nas wszystkich zmienił,
Y mnie czoło poradlił, y głowę wylenił.
Kiedyś się ztąd oddalał, byłem ieszcze chyży,
Ale się wiek posuwa, y koniec się bliży.
Toś się przecie w oyczyste nazad wrocił kąty?

HOŁOTKIEWICZ.

Już to rok tych bieguſow trzeci y dziesiąty:
Prożnom się iak żyd włoczył przez rozległe kraie,
Wszędy szczęście przedemną uciekać się zdaie,
Jak mię ztąd wyprowadził, tak przyniosł niestatek.

KLIMUNT.

Popraw się, ia twoy zechcę wspomodz niedostatek.
A ten drugi mizerak także z tobą biega
Co teraz uciekł?

Hołotkiewicz.

Jeſt to… ieſt to moy kolega;
Chudy derbiſz, nie ma nic, zgłodniały iak y ia;
Chcemy ſię gdzie wśrubować, ieśli ſzczęście ſprzyia.

Klimunt.

Mogłbym ia wam gdzie mieyſce wynaleść obiema,
Tamten ma obyczaie dobre?

Hołotkiewicz.

Pewnie że ma.
Procz tego, ma y wiele nabytych przymiotow,
Ryſuie troſzkę, zagrać na ſkrzypeczkach gotow,
Piſze, y milliony w momencieby zliczył;
Zgoła w wielu ſię rzeczach ten czerkies przećwiczył.

Klimunt.

Jeśli tak? macie mieyſce u moiego ſyna;
On ſię żeni, y ſwoy dwor pomnażać poczyna:
Jeden także z ſłużących świeżo ſię odprawił,
Y ten do zapełnienia mieyſce wam zoſtawił.

Dziś w wieczor moy ſyn z wami ſam o tym
pogada,
U Pana Bizarſkiego, moiego ſąſiada.
Ukartuię ia tę rzecz wprzody bez zawodu.
Bądź zdrow Hołotkiewiczu, maſz na garniec
miodu.

SCENA IV.

HOŁOTKIEWICZ *ſam.*

Ah! godny Pan! zacny Pan! w tym ze-
pſutym wieku,
Ktoby mogł był pomyśleć o takim człowieku!
To ſerce dobroczynne, ta duſza bez ſkazy,
Staropolſkiego czaſu wyſtawia obrazy.

SCENA V.

WALERY, HOŁOTKIEWICZ.

HOŁOTKIEWICZ, *z radością ściſkaiąc go za ſzyię.*

Już mam dla ciebie mieyſce w domowni-
kow zgraï,
U Dobruckiego będziem oba za lokaï.

WALERY.

WALERY.

Ah!

HOŁOTKIEWICZ.

O! y czegoż znowu tak przewracaſz oczy,
Jak opętany, gdy go xiądz kropidłem zmoczy?
Zkąd takie zadumienie? te wtorzone łkania?

WALERY.

Upadam pod okrutnym ciężarem zmięſzania.

HOŁOTKIEWICZ.

Coż ci?

WALERY.

Z'mego zmięſzania powinienbyś dociec,
Ten ſtaroſta....

HOŁOTKIEWICZ.

Coż tedy?

WALERY.

Ah! wſzak to moy ociec.

HOŁOTKIEWICZ, *z zadumieniem.*

On, Panie Dobrodzieiu!

WALERY.

Jam to, moy kochany,
Ten młodzian nieſzczęśliwy, ten ſyn okrzyczany;
Ten zbrodzień, ktory głowy rażony zawrotem,
Napełnił pokrewieńſtwo ſmutkiem y kłopotem.
Skakało we mnie ſerce, na oyca weyzrzenie,
Chciałem mu nieść pod ſtopy me upokorzenie,
Ale bałem ſię.

HOŁOTKIEWICZ, *z uniżonością.*

Proſzę odpuścić mi Panie,
Moiey poufałości zbytnie używanie.

WALERY.

Moy umyſł okropnemi ſkołatany razy,
Nie ieſt ſpoſobny uczuć tak drobne urazy.

HOŁOTKIEWICZ.

WaćPan więc ieſteś ſynem męża wielkiey cnoty,
Ktorego wſzyſcy wielbią chwalebne przymioty,

Obydwa, prawdę rzekłſzy, ſławniście w tym kraiu,
Ale ſynowſka ſławność, innego rodzaiu.

WALERY.

Y toć ieſt, co mię ſrogą przenika żałobą.
Powiedzże mi, moy oyciec co też mowił z tobą?

HOŁOTKIEWICZ.

Kiedym mu rzekł, iż chcemy iść za ſłużebniki,
Chłopce darſkie, ćwiczone a nagie, iak byki.
Obydwu nas ſtaroſta do litości prędki,
Obiecał do regenta dać za wiercipiętki;
Do tego ſyna, ktory bratnią cząſtkę zyſkał,
Y dziś będzie Elżuſię według prawa ściſkał.

WALERY.

Przykrość w długim milczeniu znoſząc iednoſtaynie,
Już teraz duſzy moiey odkryię ci taynie.
Przywieźdź ſobie ciągłemi wyſtępkow oguiwy,
Oyca kochaiącego impet zapalczywy,

Z dziedzictwa wypisanym, wyklętym być
z domu,
Strafzliwego doznawać ubostwa ogromu,
Widzieć dane starostwo y dział moy młodszemu,
Być fromotnie zepchniętym do służenia temu,
Ktory mi wszystko odiął arcy niełaskawie;
Ten iest los moy, na ktory zasłużyłem prawie:
Ale gdy mię zupełnie przeciwność odarła,
Gdy nawet sama wemnie nadzieia umarła,
Jeszcze się we mnie zawiść odzywać ośmiela.

HOŁOTKIEWICZ.

Jaka zawiść, y czego?

WALERY.

Elżusi wesela.

HOŁOTKIEWICZ.

Już też żeby być pierwszym w rozpustników cechu,
Tego ieszcze WaćPanu brakowało grzechu,
A wszakże są uczynne liczne białogłowy,
Na coż tę pożądliwość zwracać do bratowy!

WALERY.

Nie wiesz okoliczności (bo mniemam iuż
wtedy,
Z pomiędzy Bizarskiego wyszedłeś czeredy)

Iż gdyśmy poczynali wyraſtać z dzieciny,
Rodzice umowili naſze zaślubiny,
Wſzyſtko nas koiarzyło, podobne igrzyſka,
Guſt iednaki, wiek bliſki, ościenne ſiedliſka;
Tak umyślnie ſadzone młode dwa derenie,
Rośną ſpołem, by ſwoie połączyły cienie,
Czas y miłość, nowemi kraſiły ią dary,
Y coraz uprzeymości przypuſzczały miary.
Wtedy byłem rzetelnie ſzczęśliwy na ziemi;
Lecz młody, lekkomyślny, z bratany ze-
złemi,
W rozpaſaney ſwobodzie pogrążony cały,
Czyſte począłem wzgardzać Elżuſi upały.
Gdy potym namiętności nazbyt tęgie ſiły,
Gwałtownie przeznaczeniem moim zamąciły,
Ich wirem unieſiony w dalekie wygnanie,
Wſzyſtkom ſtracił, ſamo mi zoſtało kochanie.
A niebo nieprzebytą kładące przegrodę,
Wraca mi ſerce czułe, na mą cięższą ſzkodę.

HOŁOTKIEWICZ.

Jeśli pierwſzy WaćPanem ogień znowu
włada,
Taką rzeczą Zdawnialſkiey nie zła była rada,
Y gdy niemiłoſiernie złe ſzczęście nas goli,
Miłość może dopomodz do wyścia z niedoli.

WALERY.

Ja miałbym ſię pokazać przed okiem Elżuni,
Po tylu wykroczeniach w tak bezecney guni,
Od oyca, od kochanki bożym zwany biczem,
Muſzę przed ich oboyga unikać obliczem;
Gdy mię niepoſłuſzeńſtwo y niewdzięczność hydzi,
Nie wiem kto mię z nich dwoyga bardziey nienawidzi.

SCENA VI.

SIECIECH, WALERY, HOŁOTKIEWICZ.

HOŁOTKIEWICZ.

Moſpanie! otoż regent nadchodzi podobno.

WALERY.

Mało go znam, bośmy ſię chowali oſobno.

SIECIECH.

Już ſię nie miał nakoniec moy ociec czym bronić,
Y na me nalegania muſiał ſię nakłonić,

Jakem ſię wziął obrotnie z nim ſpierać y pieścić.

poſtrzegaiąc Hołotkiewicza.

Gdzież ſą ci ludzie ktorych mam przy ſobie mieścić?

HOŁOTKIEWICZ.

My to ieſteśmy oba, pozwol ſię Pan witać
Z iak naygłębſzą pokorą.

SIECIECH.

Ktoryż umie czytać?

HOŁOTKIEWICZ.

Tamten.

SIECIECH.

Wy to ieſteście widzę towarzyſze,
A ten co czytać umie, może także piſze?

HOŁOTKIEWICZ.

Y iak! liczyć, cyfrować, a że ſię Pan zdumie
Nad iego poiętnością!

SIECIECH.

A mowić nie umie?

HOŁOTKIEWICZ.

Bo to on boiaźliwy, do tego ſchorzały.

SIECIECH.

Z tym wſzyſtkim, z ułożenia zda ſię do-
ſyć śmiały,
Y ogień należyty widać z iego zrzenic.

do Walerego.

Wiele będzieſz chciał płacy za uſługi twe?

WALERY.

Nic.

HOŁOTKIEWICZ.

Ah! Moſpanie, my mamy bohatyrſką
duſzę.

SIECIECH.

Ha, kiedyś tak niedrogi, to cię przyiąć
muſzę.

Będzieſz moim ſłużalcem, dam ci w dozor konie,
Podź zamną, pokażę cię zaraz moiey żonie.

WALERY.

Zonie WaćPana?

SIECIECH.

Tak ieſt; ia ſię teraz żenię.

WALERY.

A kiedy?

SIECIECH.

Dziś w wieczor.

WALERY.

Ah! proſzę uniżenie....
Jey tedy ieſteś WaćPan wdziękami zchwytany?

SIECIECH.

Zapewne.

WALERY.

Moſpanie!...

SIECIECH.

Hę?

WALERY.

Czy iesteś kochany?

SIECIECH.

A iakże! Lecz to mało należy do sługi.

WALERY, *na stronie.*

Karałbym go za tyle szczęścia bez zasługi.
Jakże mię to wyznanie do żywego tknęło!

SIECIECH.

Co on przebęknął?

HOŁOTKIEWICZ.

Tak mu się też to wypsnęło.

SIECIECH.

Coż przecie?

HOŁOTKIEWICZ, *pomięszany.*

On powiada, ... że życzyłby sobie...
Mieć przymioty, co Pan ma, y być w rowney dobie.

Sieciech.

Wierzę. Ale ten chłyſtek coś hardy nie-
zmiernie;
No, chowaycież ſię trzeźwo, poczciwie, y
wiernie;
A język za zębami trzymać, iak za wałem.
Szkodę zaś macie płacić, y workiem y ciałem.
Chodźcie za mną łaydaki.

Walery.

Wiem, że mu ią ſpłaſzczę.
Jak go palnę tą pięścią w wyuzdaną paſzczę.

Hołotkiewicz.

Nie bardzoś ſię ty ieſzcze poprawił, moy
Panie!

Walery.

Prawda, nic podległego nie czyńmy naganie,
Z tylu przygod przynaymniey to mi będzie
zyſkiem,
Że ſię w uczę cierpliwie obchodzić z uciſkiem.

Koniec Aktu Trzeciego.

AKT CZWARTY.

SCENA I.

ZDAWNIALSKA, WALERY, HOŁOTKIEWICZ.

ZDAWNIALSKA.

A co? naſza intryga jakże ſię ziściła?
Wykonałżeś to wſzyſtko com ci namieniła?
Wplątałżeś ſię między nich przez chytrości ścieſzki,
W pozorach życzliwości rozniecać zamieſzki?
Chwaliłeś, już Regenta y rozum y mienie?
Widziałeś Pannę młodą?

WALERY.

Nieſtety! ieſzcze nie.

ZDAWNIALSKA.

Czemuż to?...

WALERY.

Szczerze mowię, że pragnę usilnie
Rzucić się pod iey stopy.

ZDAWNIALSKA.

Zrobże to, a pilnie.
Szturmuy do niey serdecznie, byś iey miłość wzbudził,
A mnie wroć niewdzięcznika, ktory mię ołudził.
Ja dla twoiey przysługi zacznę nie leniwo
Pieniać, ty zaś dla moiey zalecay się żywo.
Day sobie owę gradzką y podboyczą minę,
Ktora do poddania się zniewala dziewczynę,
Jeśli chcesz być szczęśliwym przybierz śmiałość dawną.

WALERY.

Nie mam iey.

ZDAWNIALSKA.

Zkądże trwogę postrzegam tak iawną?

HOŁOTKIEWICZ.

Jak przeciw Regentowi możemy być śmiali,
Kiedyśmy oba teraz do niego przystali!

ZDAWNIALSKA.

Głownie. Teraz potrafiſz całą rzecz zamatać,
Kiedy będzieſz od niego z karteczkami latać;
Wiele nam to do naſzych zamyſłow pomoże.

HOŁOTKIEWICZ.

Coś widzę za ſtworzenie, y ładne y hoże,
Od Bizarſkiego progow ku nam ſunie kroki.

ZDAWNIALSKA.

Terazże ſię pal do niey, tylko bez odwłoki:
Ale coż to uważam drżyſz, ięczyſz, y ſlochaſz!
Czy ſię ty zaś poczciwcze do prawdy nie kochaſz?

WALERY.

Gdybyś WaćPani znała moie wnętrzne męki,
Pewnieby cię te ſłuſzne nie dziwiły ięki.

HOŁOTKIEWICZ.

Jakie ſię to prześliczne dziewczę uczyniło!
Gdyby roża rozkwitła! aż patrzyć miło.

WALERY.

O! rozpaczy.... gdy myślę nad ſzczęſnym rywalem,
Umieram rozſzarpany miłością y żalem.

ZDAWNIALSKA.

Do zobaczyſka; idę wzaiemną koleią
Służyć ci?

WALERY.

WaćPani mię ożywiaſz nadzieią.
Rob zwłoki, ieśli możeſz.

ZDAWNIALSKA, *odchodząc.*

Ty czyń z twoiey ſtrony.

WALERY.

Jakże cały niezwykle ieſtem zatrwożony!

HOŁOTKIEWICZ.

Gdy WaćPan dawne żądaſz kochania odnowić,
Trzebaby z nią bez drugich ſłuchaczow pomowić,
Może nam wiatr pomyślny aby raz zawieie;
Ja odchodzę.

WALERY.

Coż czynię! co się zemną dzieie!
Oh! nie zniosłbym iey oka, umykam za tobą.

SCENA II.

ELZUSIA, FIDELSKA, HOŁOTKIEWICZ *w końcu teatrum*, WALERY *głębiey*.

ELŻUSIA.

Wchodzę, wybiegam; sama uciekam przed sobą.
Prożno w osobność idę, prożno się odurzam.
Jeśli w głębiny serca myślą się zanurzam,
Im więcey w nie zaglądam, więcey mię przekona,
Ze szczęśliwość na świecie nie dla mnie stworzona:
Momencik mi ulżenia ta Zdawnialska sprawia,
Ktora do naszych ślubow zawady wystawia;
Ale co znowu moie powiększa katownie,
To, że tym bardziey regent z moim oycem rownie
Naglą Pana staroste, a może w tey chwili
Do zupełnych zakończeń iuż go przynaglili.

FIDELSKA.

FIDELSKA.

Nadto powolny ſtarzec; każdy go żałuie,
Że ſię tak Regentowi temu powoduie.

ELŻUSIA.

Bo w nim tylko nadzieia zoſtała iedyna:
Coż ma czynić, ſtarſzego gdy utracił ſyna?
Z drugiego ſię przynaymniey ſpodziewa podpory.

FIDELSKA.

Rozeſzła ſię pogłoſka, że tamten był chory,
Ale nie maſz pewności, czyli zeſzedł z świata.

ELŻUSIA.

Dla mnie zawſze zoſtaie ſmutna alternata,
Lub umarłego płakać, lub ſię żywym brzydzić.

FIDELSKA.

Nie chciałabym WaćPanny o nieſzczerość wſtydzić,
Tylko tyle przytoczę, żem częſto zważała,
Ileś WaćPanna razy od kogo ſłyſzała

Jego niebespieczeństwa, iego poniewierkę,
Niedogasłey miłości znać było iskierkę.

Elżusia.

Procz miłości, godzi się losem opłakanym
Wzruszyć.

Fidelska.

Jednoć iest umrzeć, a nie być kochanym.
To iuż, widzę, będziemy żonką w iego rodzie.

Elżusia.

Moia Panno, to słowo na wylot mię bodzie.
Wszak zdawna wiesz oziębłość moię dla Regenta,
Jak te związki okrutne zdaią mi się pęta!
Jest to kielich piołunu, ktory w srogiey doli,
Nie ze smakiem, lecz przyiąć muszę poniewoli.

Hołotkiewicz, *ciągnąc Fidelską za suknią.*

Czyli bez przeszkodzenia Panienko nadobna,
Możnaby ci powiedzieć parę słow z osobna?

FIDELSKA, *idąc za nim.*

Z ochotą.

ELŻUSIA.

O! fortuno mało litościwa!
Czemużeś nie zerwała dni moich przędziwa,
W on czas, kiedy Walery przez wiarę zmienniczą,
Wſzyſtkie godziny moie przeraźił goryczą!

FIDELSKA.

Od Regenta widziałam iakiegoś człowieka,
Ktory ma coś WaćPannie powiedzieć.

ELŻUSIA.

Niech czeka.

FIDELSKA *idąc do Hołotkiewicza.*

Panie bracie, poczekać Imcść roſkazała.

ELŻUSIA.

Nie będęż y momentu ſpokoynego miała
Ten Regent, albo mię ſam uſtawicznie nudzi,
Albo mię w oblęzeniu przez ſwych trzyma ludzi.
Eh! iuż mi to małżeńſtwo kością w gardle ſtoi.

Hołotkiewicz *do Fidelſkiey.*

Wyiednay nam momencik, proſzą ſługi twoi.

Fidelska, *powracaiąc do Pani.*

Jego proźbie pokorney nie można ſię zbronić

Elżusia.

Już on widzę koniecznie chce mię ztąd wygonić.

Fidelska.

Ale ten ktoś powiada, iż w teyże godzinie,
Jeśli mowić z WaćPanną nie będzie, to zginie.

Elżusia.

Podźmyż ſię gdzie przed temi natrętami ſchować.

SCENA III.

ELZUSIA, FIDELSKA, WALERY *wſpieraiąc ſię na* HOŁOTKIEWICZU.

Walery.

O! moy Hołotkiewiczu rączże mię ratować,
Pot zimny mię oblewa y ſtąpić nie mogę.

HOŁOTKIEWICZ.

Day WaćPan rękę, poydźmy zastąpić iey drogę.

WALERY.

Mdło mi... silę się mowić, ale nadaremnie.
do Elżusi.
Dozwolisz Pani....

ELŻUSIA, *nie patrząc na niego.*

Czego Waszeć chcesz odemnie?

WALERY *na kolanach.*

Czego chcę... łaski pragnę, żeby mię kto dobił.

ELŻUSIA.

O Nieba coż ia widzę?

FIDELSKA.

A coż on tu robił?
Nasz Walery! moy Boże! iakże on się zmienił.

WALERY.

Zmieniłem się, ztąd się też chyba będę cenił;
Już ia więcey nie iestem owym winowaycą,
Ani owym niewdzięcznym serca twego zdraycą,

Na ktorego głos ludu powſzechny powſtawa,
Za przeſtępſtwo natury y miłości prawa.
Młodość moia niebaczna z dobrey zſzedłſzy
drogi,
Wſzyſtkie mych ſpołecznikow przeięła nałogi.
To zaś za nayczernieyſzą poczytuię ſkazę,
Ze ſobie zaſłużyłem na twoię urazę,
Przez cnoty (ktorąm niegdy miiał) zaſzczyt
święty,
Przez twych cząt zwycięzkie przyſięgam po-
nęty.
Zem poznał błędy moie, że żałuię za nie.
W pierſi mey zbrodnia miała przechod, nie
mięſzkanie.
Płomienie, ktorych niegdy czyſtą władzę
znamy,
Wſzyſtkie wemnie dawnieyſze wypaliły plamy,
Ich iaſność moie teraz rozegnała cienie,
Y do widzenia ciebie zbudziła pragnienie.
Nie chcę rwać nowych związkow, gdzie cię
miłość woła,
Nieſortunny mieć takich zamyſłow, nie zdoła.
Ale kiedy nieſzczęscia, y ſmutki, y bole
Sprawiły, że iuż ieſtem iedną nogą w dole,
Kiedy ſię iuż okropney ſtaię śmierci plonem,
Szukam cię ieſzcze, Pani, na chwilę przed
zgonem;

Tobie dawniey przeznaczon, dziś mam dość korzyści,
Jeżeli umrę wolen od twey nienawiści.

ELŻUSIA.

Ledwiem przyszła do siebie po takim widoku!
Tyżeś to? ty moiego ieszcze szukasz wzroku?
W iakim stanie? w iaki dzień w te wchodzisz pokoie?
Ah! iakżeś nas ty srodze pokrzywdził oboie!

WALERY.

Znam wielkość tych występkow, ktoremi się brzydzę,
Jeszcze mi się większemi zdaią, gdy cię widzę;
Skarany za nie iestem, lecz ieszcze nie wmiarę.

ELŻUSIA.

Y iakże, nieszczęśniku! y możeż dać wiarę,
Że w tym sercu zmiękczonym od przykrości młota,
Z tak wielu się przypadkow narodziła cnota?

WALERY.

Coż po tym, że mi cnota daie oświecenie!
Nierychło iey postrzegłem czci godne promienie:
Prożno iuż teraz życie nieskażone wiodę,
Jeśli tey cnoty w tobie utracam nadgrodę.

ELŻUSIA.

Ale mamże zaufać, że ci twoie męstwo
Dało nad samym sobą otrzymać zwycięztwo?
Powiedz, czyli nie prożne łudzą mię chimery,
Mogłżebyś iuż być teraz cnotliwy y szczery.

WALERY.

Jestem nim, bo cię moie serce czci niezmiernie.

ELŻUSIA.

Ty, Walery, ty miałbyś kochać ieszcze wiernie?

WALERY, *do Elżusi, ktora płaczące oczy chustką sobie zastania.*

Czyli cię ieszcze kocham, Pani! ah! przez czyię,
Jeśli nie przez miłości łaskę, dotąd żyię?

Straciwszy aż do sławy cierpiąc takie męki,
Już, iuż nie raz od własney miałem poledz ręki;
W okropnościach, ktorych mi pamięć włosy ieży,
Oszczędziłem me życie, bo tobie należy.
Rozum, iestestwo, zdania, ktore się mi czyszczą,
Y te dni, ktore ieszcze może mi zabłyszczą,
Wszystko tobie winienem. Proszę, nie kryiże mi
To czoło ozdobione wdziękami nowemi;
Patrzay na mnie chociaż mię zmieniły zgryzoty,
Uważ okrutne dzieło niezmierney tęsknoty;
Frasunek, długie troski, nieustanne smutki,
Swey mocy na mey twarzy wyraziły skutki,
Zwiędniałem teraz, ale racz na mnie poglądać,
Tego ieszcze przynaymniey śmiem od ciebie żądać.

ELŻUSIA, *słabym głosem.*

Jeśli ci się rostropność y stałość wrociły,
To dosyć; w oczach moich będziesz arcy-miły.

WALERY.

Co mowisz? oczka twoie we łzach, widzę, brodzą!

Elżusia, *do Fidelskiey.*

Ah! wspieray mię Fidelska, zmysły mię odchodzą.
Jabym miała być kiedy iego brata żoną!...

do Walerego.

Widziałżeś iuż twarz oyca przez cię zasmuconą?

Walery.

Za moiey rozwiozłości puszczone zagony
Wstydzę się, będąc winny, będąc obsądzony;
Gdy teraz pod ciężarem iego gniewu stękam,
Szczerze go kocham, ale widzieć się z nim lękam.

Elżusia.

Y cożeś sobie czynić nakoniec ułożył?

Walery.

Jeśli niebo dopuszcza, żebym ieszcze pożył,
Jeśli cię ślub z mym bratem nie może ominąć,
Na woynie ograniczney będę szukał zginąć;
A imię z moim oraz przytaiwszy stanem,
Prosty żołnierz na walki poydę z bisurmanem.

Może moiey ſzczęśliwe broni przeznaczenie,
Chwałę dla mnie, y twoie pozyſka weſtchnienie;
Przez takowe rzemioſło honor ſię nie kali.
Straſzewſki y Sybilſki tak rozpoczynali.

ELŻUSIA.

Takowa rozpacz, będąc piękney duſzy znakiem,
Swiadczy cię być ſzlachetnie myślącym Polakiem;
Y więcey mię upewnia o dobrych pochopach,
Niżeli te łzy, ktoreś przy mych ſączył ſtopach.
Jeśli rządzić mą ręką będzie mi ſię godzić,
Nie trzeba ći po ſzczęście tak daleko chodzić.

WALERY.

Moie cierpienia twego rozrzewniły ducha.

ELŻUSIA.

Wzruſzały mię, lecz twoia zapala mię ſkrucha.

WALERY.

Coż to? zrzenice Pani gniewne przez czas długi,
Spuſzczaią ſię ku oczom uprzeymego ſługi?

Y ktory moich zbrodni przygasiła fala,
Ogień, ow święty ogień znowu się rozpala?
Ah! ieśli w niesłuszności bracis̄zek uparty,
Pragnie dział moy zatrzymać od oyca wydarty,
Ja się iednak szczęśliwszym mogę nadeń liczyć,
Kiedym go w twym potrafił sercu wydziedziczyć,
Już iestem na naywyższym pomyślności kresie.

FIDELSKA.

Otoż do nas Regenta iakiś kaduk niesie.

ELŻUSIA.

Pokryi twoie wzruszenia, niech się niewydawa
Taiemnica.

WALERY.

Na coż to? kiedyś iest łaskawą.

ELŻUSIA.

Ah! obawiay się ieszcze, moy miły Walery,
Uprzedzeń moich krewnych, y oyca cholery,
Twoy brat iuż widział, żeś się z moią ręką bawił,
Trzeba, byś się przynaymniey przed nim nie obiawił.

SCENA IV.

ELZUSIA, FIDELSKA, HOŁOTKIEWICZ, SIECIECH *ieſzcze zdaleka,* WALERY *tyłem ſię do niego obraca.*

SIECIĘCH.

Coż to ieſt? czy ki diaboł nagle mię zaślepił,
Czy ſię ten włoka do niey doprawdy przyczepił.

Zbliżaiąc ſię do Walerego.

A ty to, oſzarpańcze, ważyſz ſię mię zdradzać?

WALERY, *z gniewem.*

Co ty....

HOŁOTKIEWICZ, *wpada między nich.*

Eh! nie trzebaby, Moſpanie, przeſzkadzać,
Przypatrzyłbyś ſię WaćPan cudowney odmianie,
Bo to tu był y reſpekt, było y poznanie;
Y cnota..., aże cały w zadumnieniu tonę.

SIECIECH.

Cnota? hultaiu! cnota? całować mi żonę.

WALERY.

Gdybym....

SIECIECH.

Z tego wſzyſtkiego nie rozumiem kęſa;
Jeden opryſzek! gałgan! ktory ſię wałęſa,
Ktoregom z miłoſierdzia dopiero przytulił,
Y iuż ſię w poufałość Dobrodzieyce wlulił!

Elżuſia, do Walerego chcącego mowić.

Milczże.

SIECIECH.

Będzieſz na haku, miey pewną nadzieię.

do Fidelſkiey.

Ty ſię śmieieſz, poganko!

FIDELSKA.

Prawda, że ſię śmieię.

SIECIECH.

Y zczegoż ſię ty śmieieſz?

FIDELSKA.

Alé.... ziedney rzeczy.

SIECIECH.

Radziłbym ci ſię zemną mieć na większey pieczy,
Wieſzli, moia kochana, pozwanym przez takty*
Co robią urzędownie takim dziewkom, iak ty.

FIDELSKA.

Czemuż zaś nie mam wiedzieć?

SIECIECH.

A naſza Elżuſia?
Jak żeby to nie o niey, ſtoï gdyby truſia:
A piękną do miłoſtek wybrałaś oſobkę!
Przedniąś mi pokazała uczciwości probkę,
Na godzinę przed ślubem.

ELŻUSIA.

Nie bądź WaćPan ſkory,
Nie potępiay niewinnych na płonne pozory.

SIECIECH.

O moie niewinniątko!

---

* *ex termino tacto.*

ELŻUSIA.

Dokładniey poznane
Me czyny od WaćPana będą ſzacowane.

SIECIECH.

To znowu oſobliwſza do ſzacunku droga!

WALERY.

Już też to tego nadto.

ELŻUSIA, *do Walerego.*

Wſtrzymay ſię dlaboga!

WALERY.

Nie ścierpię, że ten człowiek przykrey pełen buty;
Nieprzyzwoite czyni WaćPannie zarzuty.

SIECIECH.

A znaſz to, moia Panno, że według uſtawy
Mogłabyś dożywocia pozbyć, y oprawy?
Y twego wnioſku nawet? bo ſą prawa rożne
Na białogłowy cudzo....

WALERY, *przerywaiąc mu, z impetem, bierze ſię do ſzpady.*

Porzuć ſłowa prożne,
Bo....

SIECIECH.

Jeſzcze mi przegrażaſz twoią miną leśną?

ELŻUSIA, *do Walerego.*

Jak mię kochaſz, przyśmierzże porywczość niewczeſną.

WALERY.

Panie Regencie, życzę zniżyć trochę tony,
Bądź cokolwiek względnieyſzy, a mniey naprzykrzony,
Wſzakże ta dama nie ieſt metreſſą WaćPana,
Ani ci też w małżeńſtwo nie była oddana.
Y za coż te furye? na co te wywody?
Trzeba było Jeymości podobać ſię wprzody,
Wtedy miałbyś iedyne prawo do iey ręki:
Lecz to nie dla WaćPana ſtworzone te wdzięki,
Nie bardzo ci przyſtoi być zawiſnym onie.
Niechże tedy WaćPana ten impet opłonie,
Ktoregobym nieznoſił, gdyby nie iey wola.

SIECIECH, *niby gotuiąc ſię do bitwy.*

A iuż też niewytrzymam. Moi ludzie! hola!

WALERY.

Jako?

SIECIECH.

Biegay po wartę.

Elżusia, *do Walerego.*

Oddalże ſię proſzę.

Sieciech.

Zaraz ia wam tu tego ſzubrawca przepłoſzę;
Nauczę ia go mores, co on ſwemu Panu,
Co za względy zacności mego winien ſtanu.

Walery.

Lubo ſię to WaćPanu może zdaie dziwnie,
Lecz tych względow cokolwiek winieneś przeciwnie.

Sieciech.

Kto? ia?... ia?

Walery.

Waſzeć iespan.

Sieciech.

To dziki kawałek.
Zapewne to muſi być maſzkowany śmiałek.
Co ty za diaboł ieſteś? powiedz.

Walery.

Nie wiem poty,
Loſy moiego ſtanu, y właſney iſtoty;

Szczegulnie od tey Pani zawiſſy dobroci,

S I E C I E C H.

Zawiſną wnet od ſądu, ktory cię ukroci,
Areſztuię cię, czekay, zaraz ia tu będę
Z pachołkami, tylko wprzod zapiſzę widendę.
Ha! y ty niewiernico ſtrzeż ſię mego piorka;
Zaraz ſię oyciec dowie, iaka iego corka,
Y przed całym rodzeńſtwem poydę cię obwinić,
A potym zobaczemy, co z tym daley czynić.

S C E N A V.

ELZUSIA, WALERY, FIDELSKA.

E L Ż U S I A.

Schrońże ſię przed ſzponami tych okrutnych ſępow,
Bo ſię boię niegodnych dla ciebie naſtępow;
Y gdyby ſię twoy ociec dowiedział, żeś to ty,
Wzburzyłyby ſię iego gniewliwe kłopoty.
Każdemu to naypierwey przyſzłoby do głowy,
Ześ tu przybył ukazać zapęd iaki nowy,
Y w iego ſię od razu ta myśl zrodzi bolu,
Ze między naſze domy chceſz naſiać kąkolu;

Nieſtety! mogliby cię za mniemane winy,
Zamknąć przed wyſłuchaniem rzetelney przyczyny.

FIDELSKA.

Nie turbuy ſię WaćPanna, iuż to moia praca,
Jak go ſkryię, zie kata kto go tam wymaca.

Elżuſia do Walerego, ktory ią w rękę całuie.

Idźże iuż idź! Walery, ia ſię będę wzmagać,
Zeby oyca twoiego po cichu przebłagać,
Niechay natura, ktorą wyſtępek ucisſka,
Za pomocą miłości ſwe prawa odzyſka.

do Fidelſkiey.

Bież za nim, niech ſię kryie, niech raźno umyka.

SCENA VI.

BIZARSKI, ELZUSIA.

BIZARSKI.

Chciałem znaleść u ciebie twoiego ſamczyka.

ELŻUSIA.

Nie ieſt nim z łaſki bożey.

BIZARSKI.

Gdzież ty myśliſz biegać?

ELŻUSIA *odchodząc.*

Obyczayność mi każe ieſzcze ſię wyſtrzegać
Regenta przytomności.

BIZARSKI.

To, to widzę zbliſka,
Niebeſpieczne potkanie tego Regenciſka.
Radbym ia dla uciechy wypatrywać z kąta,
Jak ſię koło ſwey przyſzłey naſz Pan młody krząta.

SCENA VII.

SIECIECH, BIZARSKI, PACHOLCY.

SIECIECH.

Bierz, ſzukay, ścigay, łapay; gdzie oni? gdzie oni?
Ah! kto mi ich ukaże, kto mi ich dogoni?
Kędy mi te oſzuſty zdarły ſię ze ſmyczy.

BIZARSKI.

Czemu ſię tak Waścina powaga iendyczy?
Kogo ſzukaſz? za co ci tak ſię żyły palą.
Coż ci?

SIECIECH.

Co mi? oto mię zrobiono rogalą.

BIZARSKI.

Ale ſtatkuyno ſobie; przyczyna tych żalow?

SIECIECH.

Przyięto mię ſzczęśliwie do bractwa rogalow.
Pięknie mię wyſtrychnęła ukochana żona.
Ledwie ſię wſtrzymam ſłuſzne dawać iey imiona.

BIZARSKI.

Zięciu!

SIECIECH.

Hultay, wbrew prawom przyprawił mi rożki.

BIZARSKI.

Czy można!

SIECIECH.

Sam widziałem, gdy iey ściſkał nożki.

BIZARSKI.

Sławę nam bierzeſz.

SIECIECH.

Mnieć to w ſławie czynią ſzkody.

BIZARSKI.

Gdybym wiedział....

SIECIECH.

A wſzakże ſą na to dowody.

BIZARSKI.

Jakby ſię to ſtać mogło, nie poymuię zięciu!

SIECIECH.

Ta rzecz ieſt poſtaremu łatwa ku poięciu.

BIZARSKI.

Gdyby to było prawdą, wiem, iakbym ſię ſprawił,
Właſnemibym Elżbietkę rękami zadławił.

SIECIECH.

Wolno ią ſobie dławić, bo nie maſz wątpienia.

Bizarski.

Toć pewna, że przed nami ſzukała ſchronienia,
Głos iey był pomięſzany, zrzenica ku ziemi,
Umykała krokami nad zwyczay ſzybkiemi...
Szukaymy iey, niech wyzna przed nami obiema,
Bo gdzie idzie o honor, żartow zemną nie ma.

Koniec Aktu Czwartego.

AKT PIĄTY.

SCENA I.

ELZUSIA, FIDELSKA.

ELŻUSIA.

Ah! ledwiem ſię dobyła ztamtąd na twe łono,
Jakże mię poſądzano! iakże mię martwiono!
Y czemuż tak nieſłuſzne krzywdzi podeyzrzenie
Duſzy niepokalaney trwożliwe ſumnienie?
O! Walery! kochanku fatalny y miły,
Gwiazdyli weyściom naſzym przeciwne świeciły?
Twoie ztąd oddalenie uięło mi życia,
A ſławie ſzkodzi moiey dzień twego przybycia.

do Fidelſkiey.

Zmiłuy ſię, daway baczność, bo ſzukaią wſzędzie.

FIDELSKA.

Niech ſto razy ſzukaią, nic z tego nie będzie.
Stoi w Apteczce ſzafa ſzeroka y długa,
Za ktorą zaſłoniona ieſt w murze framuga,
Tam Walery wciśniony z beſpieczeńſtwem ſiedzi,
Skryty oczom Regenta, y iego gawiedzi.
Ja ſobie w kącie ſtoiąc śmiałam ſię z tey pſiarniey,
Ktora, zwietrzyć nie mogąc, czas traciła marnie.

SCENA II.

ELZUSIA, FIDELSKA, HOŁOTKIEWICZ.

ELŻUSIA.

Jakże? Hołotkiewiczu, co tam z naſzą ſprawą?

HOŁOTKIEWICZ.

Przepytywania z wielką wytrzymałem ſławą;
Jak ow ſtary wywiiacz, co pſu oczy przedał,
Nic ſię niepomięſzawſzy, zawſzem odpowiedał,

Obſiadła mię chalaſtra, ieden niż głos zabrał
Pierwey połowę karty łaciną zababrał.
Drugi w groźney poſtawie o całą rzecz badał,
Inny mi cienkim głoſkiem o ſkrupułach gadał;
A ia ſtały y zwięzły y w minie iednaki
Z niczym poodprawiałem te pieniactwa żaki.

ELŻUSIA.

Nic nie wiedzą?

HOŁOTKIEWICZ.

Nic ieſzcze, ale zawſze bywa,
Że ſię wſzelaka ſkrytość nakoniec odkrywa.

ELŻUSIA.

Ah! y pokiż moy umyſł tak ſię będzie biedził!
Gdyby przynaymniey Regent oyca nie uprzedził.
Drżę cała, nowe coraz przeymuią mię ſtrachy
Na honor, na kochanka, widząc te zamachy,
W miłości tylko ufam, ta mię wyrwie z toni,
Ta mi dowcipu doda.

FIDELSKA.

Niech nas dobrze broni;

Bo mamy przeciw ſobie dwoch ſtarcow y ſyna,
Za ktorym kabałuie prawnicka drużyna;
Tyſiąc o nas powieści ſzkodzących rozniosły
Te werſatki, ktore iuż z miłoſtek wyrosły.
Swiegotliwe ſąſiady pomnażaią plotki,
A naybardziey WaćPannę ſzkaluią dewotki.
Gdybyś to tę widziała właſnemi oczyma,
Ktora do duſznych zabaw czterech oycow trzyma,
Jak na WaćPannę wrzeſzcząc, ledwie że nie pękła,
Albobyś ſię naśmiała, albobyś ſię zlękła...

HOŁOTKIEWICZ.

Już też y ia bywalec y świadom hałaſu,
Alem nigdy rownego nie widział tartaſu.
Co tam za przeraźliwe w całym domu krzyki
Fraſzka gwar iarmarkowy, fraſzka y ſeymiki,
Każdy WaćPannę, ten tak, ten inaczey wini,
Każdy o tym rad mowi, każdy co przyczyni.
Zdumiałe muzykanty wypędzono z ſali,
Ani im zapłacili, ni w gardło nalali.
Sześć zaſtawionych ſtołow z winem y Herbami,
W tumulcie wywrocono do gory nogami.
Lud ſię zbiega, a czeladź ie piie do woli,
Pan Bizarſki klnie, łaie, Pan Regent gryzmoli

Elżusia.

A ociec Walerego w tak zawiłym razie,
Co też o tey mniemaney ſądzić raczy ſkazie?

Fidelska.

Widać, iż także cierpi iego zacna duſza,
Oczy wznoſi do niebios, ramionami wzruſza;
Długo tym zaſkarżeniom nie dawał ſię łudzić,
Zebyś WaćPanna miała dawną chwałę zbrudzić,
Utrzymywał, że to ieſt przeciw rozumowi.
Nakoniec dowodami zwyciężany, mowi:
Jeśli to nie ieſt fałſzem o Pannie Elżbiecie,
To ſię iuż żadney wierzyć nie godzi kobiecie.

Elżusia.

Jakże moia uprzeymość ku niemu ſię ſzerzy!

Fidelska.

Naſz Tata idzie, ktory w przewinienie wierzy;
Uciekaymy co prędzey.

Elżusia.

Ja tu muſzę zoſtać
Uciekaiąc wzięłabym winney na ſię poſtać.

Hołotkiewicz, *uciekaiąc.*

W nogi!

SCENA III.

BIŻARSKI, ELZUSIA, FIDELSKA.

Bizarski *tonem z gniewu przeciągłym.*

A ty! maſzkaro, a ty niezbednico!
Duſzo czernidła pełna, gorąca dziewico!
Tonem prędkim.
Oy Elżuſiu! Elżuſiu! iak to? co to było?
Kiedy ci ſię go widzieć pierwſzy raz zdarzyło?
Gdzie teraz ten oprawca? mow a nie kręć wici
Chcę wſzyſtkiego dochodzić, iak kłębka po nici.
Gadayże: alboż ia to groch rzucam na ściany;
Nie umieraſz ze wſtydu?

Elżusia.

Nie, oycze kochany.

Bizarski.

Y ieſzcze tym pſim tonem? coż to za ſtworzenie?
Zawſze mi powiada *nie*, y *nie* y ieſzcze *nie;*
Kiedyś ſię poſzkapiła, maſz ſię ſkromnie chować,
Zeby mię zaraz ſłuchać, żeby mię ſzanować,
Y bać ſię; przykazuię na błogoſławieńſtwo.

ELŻUSIA.

Oyczę moy! wſzelkie we mnie znaydzieſz poſłuſzeńſtwo.

BIZARSKI.

W te mi gray; a widzi Wać kiedy ia pogrożę,
Jakaś teraz malutka...

ELŻUSIA.

Jeſzcze ſobie wrożę,
Iż tyle prożba moia pokornie wyiedna,
Bym wprzod mogła z Staroſtą mowić ſama iedna.

BIZARSKI.

Co tobie po Staroście? czemu całey ſprawy
Przedemną nie opowieſz?

ELŻUSIA, *całuiąc go w ręce*

Oycze moy łaſkawy!
Tę taiemnicę, w ktorey o ſławę nam chodzi,
Jemu tylko ſamemu powierzyć ſię godzi.

BIZARSKI.

Co ona chce od niego? co mu będzie prawić?...

Ną, można ią z tym ſtarym ſam na ſam zoſta-
wić.
Ale ieśli poniosła plamę na honorze,
Zaraz tę ſekutnicę pakuię w klaſztorze

SCENA IV.

ELZUSIA, FIDELSKA.

ELŻUSIA.

Zdaie ſię w tych momentach ſerce we mnie
kruſzyć,
Zacny Staroſto czyliż potraſię cię wzruſzyć?
Zgon albo życie moie, w twoich ręku Panie!...
Słuchay ieno, Fidelſka.
mowi do niey cicho.

FIDELSKA.

Wſzyſtko ſię tak ſtanie.

SCENA V.

ELZUSIA, KLIMUNT.

ELŻUSIA *przyſtawiaiąc krzeſła.*

Siądź że WaćPan Dobrodziey....a dozwol
łaſkawie,
Ażebym ia klęczący mowiła w mey ſprawie.

KLIMUNT, *nie dopuſzczaiąc iey klęknąć.*

WaćPanna mię urażaſz.

ELŻUSIA.

Nie day tego Boże!
Oycze moy, ktoż cię więcey czcić nademnie może?

KLIMUNT.

WaćPanna moią corką?

ELŻUSIA.

Smiem podchlebiać ſobie,
Że to imie na moim będzie ryte grobie.

KLIMUNT.

Corką moią? po takiey wzgardzie obowiązku?
Ktora naſzego węzły roztargała związku!
Lecz nie chcę o tym ſądzić; wolę ſię wprzod pytać.

ELŻUSIA.

Obyś WaćPan Dobrodziey mogł w ſwym ſercu czytać,
Przywiązanie do ſiebie y reſpekt bez końca;
Wiem że z mego Sędziego byłbyś moy obrońca,

Racz cierpliwie wyſłuchać ſłowa niezawodne,
A może zdania naſze pokażą ſię zgodne.
Siada przy Klimuncie przymuſzona.
Gdyby, Mości Staroſto, ſerce ſię twe było
Związkiem ściſłey przyiaźni z takowym ſpo-
iło,
Ktoryby, lubo ieſzcze nie doyźrzały wiekiem,
Dawał nadzieię ſtać ſię czci godnym czło-
wiekiem,
Roſnąc razem w zaſługi, wdzięki y przymioty.
Gdyby potym chybiaiąc trudne ścieſzki cnoty,
Pochyłą wziąwſzy drogę za roſkoſzy marą,
Wſzyſtkie ſwe powinności czynił iey ofiarą,
A przez byſtrość lat młodych niezważaiąc
kaźni,
Wſzelkie rwał obowiązki nawet y przyiaźni.

KLIMUNT.

To co?

ELŻUSIA.

Jeśliby zczaſem większe doświad-
czenie,
Dozwoliło mu poznać znikome łudzenie
Tak fałſzywego dobra, co ſię z błędu lągnie,
Y zgryzoty za ſobą nie odbite ciągnie;
On tedy chwyciwſzy ſię rozumu pochodni,
Porzuca owe drogi wiodące ku zbrodni,

Zbuiane namiętności rozumem ukraca,
Y do przyrodzoney ſię uczciwości wraca.
Mogłżebyś temu zamknąć wſtęp do ſerca śmiało,
Ktore dla niego dawniey otwarte bywało?

KLIMUNT.

Coż tedy z tey przemowy WaćPanny wynika?
Y czym ſię to moiego ukrzywdzenia tyka?
Tego, co przy WaćPannie na klęczkach zdybano,
Twarz, w tych ſtronach nieznana, niewiadome miano,
Nikt go z naſzych nie widział, ſama tylko wdowa,
Powiada nam, że to ieſt człowiek ode Lwowa.
Inni ſądzą, że on ieſt miłośnik bezczelny,
Ktory umyślnie przybył dzień mięſzać weſelny;
Wyznam, że taki portret tego ſwywolnika,
Ciężey mię okropnością y dziwem przenika.

ELŻUSIA.

Gdybym pewne ſkrytości powiedziała proſto,
Więceybyś był zdziwiony, Mościwy Staroſto.

Duſzę maſz nie okrutną y czyniącą pięknie,
Ktora nad przypadkami nieſzczęśliwych mię-
knie,
Y Walery, ktorego los od nas oddziela,
Wſzakże długo był miłyo czom rodziciela!

KLIMUNT.

To pewna. Y tym więcey czyny obelżywe
Powinny były zciągać gniewy moie mściwe;
Jęczę nad iego śmiercią y nie raz ſię łzami
Oblałem, nad ſproſnemi iego poſtępkami;
Lecz za to, że ze złemi uſtawnie ſię parał,
Uwaga mi przyświadcza, iżbym go był karał.

ELŻUSIA.

To ſię tylko tak mowi, ale ſię nie iści.
Czuć wieczne w pierſiach ſwoich żądło nie-
nawiści
WaćPan Dobrodziey mogłbyś? y odpychać
razem
Syna, ktory ſtałby ſię oycowſkim obrazem?
Choćby nawet całuiąc rodzicielſkie ſtopy,
Toczył z oczu pokutnych rzęſiſte ukropy?

KLIMUNT.

Nie racz, o Panno, moiey domęczać ſiwizny,
Przez rozwarcie cokolwiek przyſklepioney
blizny!

Moy ſyn albo nie żyie, albo ztąd daleki,
Przyimuie w pierſi ſwoie wſzelkich zbrodni ścieki,
Gdyby ſię on na cnoty mogł powrocić ślady,
Nie przyſzedłbyż za dawne przepraſzać mię wady?

ELŻUSIA.

Przyidzie za winy błagać, bądźmy tego pewni,
Y oyca wyliczaniem ſwych przygod rozrzewni.

KLIMUNT.

Co powiadaſz?

ELŻUSIA.

Jeśli ſię iuż w grobie nie mieści,
Zatłoczony ciężarem wſtydu y boleści,
To ſłuſzną przenikniona być mogę otuchą,
Iż padnie w oczach oyca przyduſzony ſkruchą.

KLIMUNT, *nie poſiadaiąc ſię.*

Widziſz, iaka mię dręczy troſkliwość niezmierna.
Ah! ieśli wieſz co o nim, bądźże miłoſierna,

Móia Panno, powiedz mi, czy to wieści czyie?
Czy pewność?

ELŻUSIA.

Kocha oyca, ieśli tylko żyie.

KLIMUNT.

Gdyby nas ieſzcze kochał ten naſz przeniewierca,
Ale zkąd ſię dowiedzieć o tym?

ELŻUSIA.

Z iego ſerca.

KLIMUNT.

Wiem, iż wątpliwych rzeczy mowićieś nierada.

ELŻUSIA.

Sama iſtotna prawda memi uſty włada.

KLIMUNT.

Zbyt długiego używaſz ze mną zawieſzenia,
Ulituy ſię nad laty bliſkiemi ſkończenia,
Utwierdź mię, mogłżebym mieć niepłonną nadzieię?

Te łzy mi ſą świadkami, ktore teraz leię,
Zem kochał mego ſyna.

Elżusia, *czyniąc kilka krokow do Walerego, ktory ieſt w pobliżu.*

Podźże, Panie winny.

SCENA VI.

KLIMUNT, WALERY, ELZUSIA.

Klimunt.

O Boże!

Walery, *wpada, y uklęka.*

Racz mię poznać, oycze, dobroczynny,
Do ktorego mię zawſze affekt wiąże ściſły;
Smierć lub życie od twego ſkinienia zawiſły.

Klimunt.

A coż ćię tu ziawiło?

Walery.

Swoią gorną władzą,
Natura mię, pokuta, y miłość prowadzą.

Elżusia, *klękaiąc także.*

Złączone przy twych ftopach, widzifz oycze, dzieci,
Rowne fię przywiązanie w fercach nafzych nieci,
Rowno ćię fzanuiemy....

Walery.

Niech oycowfkie prawa,
Użyią tych przykładow, ktore miłość dawa.
Mnie wyrok na to tylko wiek ieszcze przedłużył,
Bym tak wiele dobroći cokolwiek odflużył.
Ale coż ia poftrzegam? wfzak na niefzczęśnika,
Łafkawe oyca oko zwracać fię unika!
Może ten czynią fkutek rany odświeżone!...

Klimunt, *wftaie podnofząc ich, y ścifkaiąc.*

Jeft to wzrufzenia fkutek.... wfzyftko przepufzczone!
Niechayże ia między was mą uprzeymość dzielę,
Moy fynu!

Elżusia.

A ia mu fię żoną być ośmielę

Niechże nas już wątpliwość dłużey niecie-
mięży,
Niech rodzicielſka ręka pierwſze węzły ztęży.
Walery tu po nowe nie przychodzi dary,
Godzien ociec czyścieyſzey od niego ofiary.
Nic on nie chce; a ieśli będziemy enotliwi,
To moy poſag oboie wygodnie pożywi.

SCENA VII. y OSTATNIA.

Aktorowie poprzedzaiący: BIZARSKI, SIECIECH, ZDAWNIALSKA, WARTA.

SIECIECH.

A widzicie! atoli ieſzcze ſię z nią cacka,
Teraz ſię śmiało rzućmy na niego znienacka.
Pokażmy, co umiemy.

BIZARSKI.

Teraz nam niecnoto....
Już zapewne nie drapnieſz.

ELŻUSIA.

Obacz, oycze, kto to.

BIZARSKI.

A dalibog ci to on!

SIECIECH.

Co za on u kata?

KLIMUNT.

Nie inaczey, moy ſynu.

ELŻUSIA.

Poznay WaćPan brata,

SIECIECH.

Ten hołyſz moim bratem? coś to w tym za ſztuka.

ZDAWNIALSKA,

Ah! ah! ah! iak mi ſerce od radości puka.

KLIMUNT.

Jego duſza natchnieniem obcym była ſtruta.
Odięła mi go płochość, wrociła pokuta.

SIECIECH.

Czarna to duſza, ktora nie wraca do domu,
Tylko po to, ażeby porwać żonę komu.

WALERY.

Y owſzem przez WaćPana mnie miała być wzięta,
Mnie oddawna ſprzyiały te śliczne oczęta.

Y obietnicę rączki iużem był pozyſkał;
Lecz kiedy mną młodości ślepy impet ciſkał,
Minąłem ſię zbłąkany z ſzacownym upałem!,
Na ktorego wartości, nie doſyć ſię znałem.
Teraz mi dzień zbawienny oddał nieſpodzianie,
Razem oyca uczciwość, y moie kochanie.
Zayzrzyłżebyś mi WaćPan ſzczęſnego przychodu,
Wracaiącego prawo miłości y rodu?
Niech część moia WaćPana zaokręgli dobę,
Wiem, żeś dobra ulubił, ia kocham oſobę;
Y tak każdy z nas doydzie pożądaney mety,
WaćPan moiey fortunce, ia w ſercu Elżbiety.

KLIMUNT.

Lubo cię, moy Walery, chciwości niewiodą,
Piękny myślenia ſpoſob nie będzie ci ſzkodą.
Y ieśli ci Elżunia z niebios obiecana,
Mogłżebym cię iey oddać bez dobrego wiana!

BIZARSKI.

Pewnieże.

ZDAWNIALSKA.

Opatrzności ukryta prawica
Na moię pomoc tego ſprowadza ſzlachcica.

Chwałaż Bogu, iuż miia niefortunna chmura;
Ty bierz twoię Elżuſię, a ia capnę jura.

Elżusia.

Przyzwól, łaſkawy oycze, naſzemu kochaniu,
Niech ſerce w iednoſtaynym trwałe przywiązaniu,
Ktore raz tylko mogło związek obrać luby,
Będzie do ſwoiey dawney przywrocone kluby.

Bizarski.

Jeśli będzie miał we łbie trochę mniey ſrokato,
Jeśli przeſtanie burdow robić....

Elżusia.

Ręczę za to.

Bizarski.

Jeśli cię będzie kochał, y będzie miał ſtatek...

Elżusia.

Ufam, że będzie.

Bizarski.

Jeśli obſzerny doſtatek
Ociec mu zaraz nada; mogę ſię przychylić.

SIECIECH.

użći znayduiąc brata nie godzi się kwilić;
w tak małym czasie tracę bardzo wiele,
aiątek, y żonę, y koszt na wesele.

ZDAWNIALSKA.

Pfe! wstydź się, moy kochany, iaki z ciebie sknera!
ać, że ci łakomstwo nad miłość doskwiera;
Zawsze serce kieruiesz do szerszey kalety,
Czegoż to y mnie trzeba? mam konie, karety,
Ruchomości obficie, na procentach wnioski,
Trzymam nieboszczykowskie w dożywociu wioski;
Mnieś naypierwszą upewniał o niezmienney wierze,
Krzywoprzysięstw nie mamże twoich na papierze?
Zadnegom nie straciła twoiego szpargału,
Wszystko sędziom ukażę pod czas trybunału:
Y rada powinnaby przez usiłek wspolny,
Przeciwko niewdzięcznikom wydać list okolny,

Bizarski.

Prożno ſię maſz prawować, ożeń ſię z nią raczey,
Bo wątpię, żebyś ſię icy mogł pozbyć inaczey.

Klimunt.

Obciążaſz mię WaćPani wdzięcznością prawdziwą,
Gdy Regenta czcić raczyſz przyiaźnią tak żywą;
Honorby mu zapewne y ſprawa czyniła,
Jey przyczyna dla niego ozdobna y miła.
Ale dozwol, ażeby baczność moia cała
Dziś ſię na ſyna powrot ſzczęśliwy zwracała.
Wy, moie dzieci, na znak ukontentowania
Affektu braterſkiego powtorzcie ściſkania.

do Bizarſkiego.

A my dziękować Panu poydziemy nad Pany,
Za tak pomyślne ſkutku w radości przemiany.
Ten przykład ieſt pamiętny, nigdy nie należy
Rozpaczać o poprawie nadpſutey młodzieży.

Koniec Aktu Piątego.